

Janusz Rulka

Moje bydgoskie półwiecze. W liceum pedagogicznym 1959-1964

Z pierwszych wrażeń pracy w liceum najbardziej zapamiętałem inaugurację roku szkolnego. W dużej auli na podwyższeniu przemawiał krótko dyrektor Kolibabka, a później rozpoczęła się część artystyczna: recytacja poezji, głównie romantycznej, a następnie występ szkolnego chóru kierowanego przez prof. Juszczaka. Do dziś mam w uszach melodię śpiewanego przez nich, i nigdy wcześniej niesłyszanego, repertuaru. Prof. Juszczak oprócz wielogłosowego chóru żeńskiego umiał też wyluskać piękne głosy, którym powierzał partie solowe. Gdy potężnym altem solistka śpiewała:

*Czy znasz ten dom,
rodzinny dom...*

lub pieśń:

*...za znoje Kolbergowe,
Za każdą nutkę, każdy rytm
O, dzięki Wam, Ojcowie!,*

aula, pełna młodzieży i rodziców oraz siedzących w pierwszym rzędzie nauczycieli, mimo że większość już ten repertuar знаła, chłonęła te melodie z wielkim estetycznym przeżyciem.

Inauguracja podobała się też bardzo mojemu Ojcu. Zaprosiłem go do Bydgoszczy, by naocznie się przekonał, że pracuję w szkole średniej. Poprzednio, chociaż o tym nie mówił, mocno przeżywał, że ukończyłem studia, a pracuję tylko w podstawówce.

Już następnego dnia trzeba było przystąpić do pracy, która stawiała nowe wymagania. Szkoła liczebnie nie była wielka. Po 1956 r. licea z czteroletnich stały się szkołami pięcioletnimi. Przychodzili do niej chętni po siedmioletnich szkołach podstawowych. Przeważnie dziewczęta. Chłopców/mężczyzn nie było więcej niż 10%. W każdym roku uruchamiano na ogół dwie klasy, z których jedna była całkowicie żeńska, a druga, koedukacyjna, z kilkusobową grupą męską.

W roku, gdy zacząłem pracę, było łącznie 9 klas, bo klasa III była tylko jedna. Szkoła przygotowywała głównie do pracy w nauczaniu początkowym (klasy I-IV) i języka rosyjskiego na poziomie szkoły podstawowej. Parter budynku zajmowała szkoła ćwiczeń, liceum było na pierwszym piętrze. Drugie piętro mieściło internat. Generalnie jednak absolwenci mogli uczyć wszystkich przedmiotów w szkole podstawowej. W ciągu kilku lat, przeglądając akta szkoły znajdujące się w wojewódzkim archiwum państwowym, odtworzyłem sobie historię kształcenia nauczycieli w Bydgoszczy. Na tej podstawie opublikowałem w 1972 roku artykuł w tomie zbiorowym zatytułowanym „Bydgoszcz w latach 1920-1970”. Oto fragmenty tego tekstu:

Seminarium nauczycielskie męskie założono w Bydgoszczy w 1902 roku. Było to seminarium dla uczniów-katolików. Seminarium nauczycielskie – ewangelickie – istniało już w XIX wieku. Celem jego było dalsze nasilenie germanizacji na naszym terenie. Dobitnie świadczy o tym fakt, iż na 14 uczniów pierwszej stworzonej wtedy klasy, nie było ani jednego ucznia z Pomorza i Poznańskiego. Specjalnymi stypendiami zachęcano natomiast do wstępowania do seminarium uczniów z centralnych rejonów Niemiec i Prus Wschodnich, aby przy ich pomocy skuteczniej realizować antypolską politykę szkolną. Początkowo szkoła wegetowała, przede wszystkim ze względu na brak własnego budynku. Dopiero w październiku 1907 r. przenosi się do wybudowanego dla jej potrzeb gmachu przy ulicy Seminaryjnej, który na okres pięćdziesięciolecia stał się miejscem kształcenia kadr nauczycielskich.

W listopadzie 1918 r. załamuje się cesarstwo niemieckie. W Niemczech szerzy się ruch rewolucyjny. W zaborze pruskim powstają, podobnie jak w innych częściach Niemiec, Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Specyfiką na tym terenie jest aktywny udział w nich elementu polskiego. Obok powstają załężki władzy, wyłącznie polskiej – rady ludowe z Naczelną Radą Ludową w Poznaniu. W końcu grudnia 1918 r. w Wielkopolsce wybucha powstanie. Wojska powstańcze nie zajmują jednak Bydgoszczy, zatrzymane na linii Noteci. W takiej atmosferze ludność polska naszego miasta domaga się nauki w języku polskim. W Bydgoszczy zebrano w tej sprawie ponad 7 tysięcy podpisów. Na tę liczbę dzieci było jedynie trzech wykwalifikowanych nauczycieli – Polaków. Wobec braku sił nauczycielskich utworzono kurs „dla sił pomocniczych”. W sumie odbyły się trzy półroczne kursy, które ukończyło 120 osób.

Po wkroczeniu wojsk polskich do Bydgoszczy, nastąpiło w dniu 20 stycznia 1920 r. urzędowe przejście Seminarium. Dyrektorem zakładu został ks. Filipiak. Już następnego dnia odbył się egzamin z języka polskiego. Pomyślnie zdało go 73 uczniów, z których utworzono 5 klas seminarium. Uczniów – Niemców – przeka-

zano do seminarium ewangelickiego z niemieckim językiem wykładowym (w 1923 roku uległo likwidacji).

Obok normalnej realizacji programu dla młodzieży trwały w zakładzie w roku 1921 kursy dla nauczycielskich sił pomocniczych, m.in. przybyłych z Górnego Śląska. Na kursach tych wydano łącznie 64 świadectwa dojrzałości. Kursy dla sił niewykwalifikowanych trwały następnie w każde wakacje letnie. Łącznie brało w nich udział 490 kandydatów, z których jedynie 69 uzyskało świadectwo dojrzałości.

Od roku 1920 odbywały się egzaminy dojrzałości dla maturzystów kolejnych klas kursu dziennego. Łącznie w ciągu 15 lat ukończyło Seminarium 449 absolwentów, a doliczając maturzystów z kursów dokształcających, Seminarium Nauczycielskie w Bydgoszczy wydało 582 dyplomy nauczycielskie.

Warunki pracy w Seminarium należy uznać za dobre. Sale szkolne Seminarium i szkoły ćwiczeń mieściły się na parterze, na pierwszym piętrze były sale do nauki własnej, a na drugim piętrze – sypialnie. W internacie mieszkała ponad połowa uczniów. Od początku pracy polskiego zakładu kadra nauczająca dbała o rozwój bazy materialnej szkoły. Uzupełnianie pomocy odbywało się w dużym stopniu we własnym zakresie – szczególnie w trakcie zajęć z prac ręcznych. Wiele korzystnych zmian zaszło po roku 1929, kiedy to szkoła, za dyrekcji dra E. Winklera, przeszła na pracowniany system nauczania. Początkowo istniało pięć pracowni: fizyki i chemii, rysunków, robót ręcznych, muzyki i śpiewu oraz sala gimnastyczna. W ciągu 1930 roku powstały następne: biologiczna, historyczna, polonistyczna, matematyczna, geograficzna, języka niemieckiego, pedagogiczna i religii. Jako ostatnią otwarto czytelnię, będącą równocześnie świetlicą uczniowską. Pracownie te były – jak na owe czasy – bogato zaopatrzone. Biblioteka liczyła ponad 5 tysięcy tomów, z tego 3 tysiące w języku polskim. Drugim kierunkiem pracy dydaktyczno-wychowawczej było nastawienie na rozwijanie form samorządności uczniowskiej. Trzecim kierunkiem, dominującym, było wychowanie państwowe, realizowane w całokształcie pracy, ale głównie przez przedmiot wychowanie państwowe, przysposobienie wojskowe i działalność organizacji młodzieżowych, szczególnie harcerstwa.

Ten okres pomyślnego rozwoju przeszedł stopniowo w stan stagnacji wywołany wstrzymaniem rekrutacji w roku szkolnym 1931/32. Wiązało się to z przeprowadzaną reformą szkolną polegającą m.in. na przejściu do kształcenia w trzy-letnich państwowych liceach pedagogicznych na bazie 4 klas gimnazjum (po tzw. małej maturze). W kolejnych latach Seminarium coraz bardziej się kurczyło, posiadając w roku szkolnym 1935/36 jedynie kurs V. Spowodowało to duże trudności w zatrudnieniu kadry. W efekcie nauczyciele Seminarium pracowali

przeważnie w szkole ćwiczeń, a uzupełniali etaty w różnych szkołach bydgoskich. Budynek szkolny był wykorzystany jedynie częściowo, a w internacie w okresie dwu lat przebywało jedynie po dwudziestu kilku uczniów.

Należy równocześnie stwierdzić duże nasilenie form oddziaływania religijnego. Uczniów Seminarium obowiązywała zbiorowa spowiedź co kwartał, msza w niedzielę, dwa razy w tygodniu obowiązkowe nabożeństwa w kaplicy szkolnej, różaniec w październiku i nabożeństwa majowe.

W roku 1937 powstało, wskutek usilnych próśb rodziców, prywatne gimnazjum Polskiego Towarzystwa Szkolnego z siedzibą w gmachu Seminarium. Współpraca tych dwu szkół nie układała się jednak właściwie. W tym samym roku odchodzi dyrektor dr Winkler. Pełniącym obowiązki dyrektora był w latach 1937-39 historyk Władysław Łanoszka.

Nadzieję na lepsze przynosi rok 1938, kiedy zaczęto rekrutację do Państwowego Liceum Pedagogicznego. Do klasy pierwszej przyjęto 26 uczniów, a ukończyło ją 24. Na atmosferę ostatniego roku wpływała mocno napięta sytuacja polityczna. Uczniowie doskonalą się w przysposobieniu obronnym, obronie przeciwlotniczej i gazowej. O patriotycznym nastawieniu młodzieży świadczy zebranie w ciągu roku 303 złotych na Fundusz Obrony Narodowej. W protokole podsumowującym rok szkolny w czerwcu 1939 r. dyrektor W. Łanoszka mówił m.in. o egzaminach wstępnych, o zamierzeniach na rok przyszły, o nowym rozwoju szkoły...

Pierwszego września rozpoczęła się wojna i nauczyciele stali się jedną z najbardziej represjonowanych i wyniszczanych grup społecznych. Z nauczycieli zakładu zginęli zamordowani przez Niemców: Stanisław Czyżowski, Zygmunt Jurkowski, Florian Kaja, Leon Kaja, Władysław Łanoszka, Franciszek Żurek. Los ich podzieliło ponad stu nauczycieli – wychowanków bydgoskiego Seminarium.

Państwowe Liceum Pedagogiczne odrodziło się we wrześniu 1945 roku. Początkowo mieściło się w kamienicy czynszowej przy al. Pierwszego Maja 22 w bardzo trudnych warunkach. W roku szkolnym 1946/47 przeniesiono je do własnego gmachu przy ulicy Seminaryjnej. Dyrektorami Liceum byli kolejno: J. Kurkowski, M. Białecki, mgr J. Wernerowski, dr L. Bandura (1950-54), mgr W. Kolibabka (1954-59), mgr M. Chorwat (1959-60), K. Wrzoś (1960-64). Od samego początku kształcenie odbywało się dwoma systemami: zaocznym i stacjonarnym.

System zaoczny przeżywał szereg przeobrażeń. Początkowo były to tzw. Komisje Rejonowe. Dla potencjalnych nauczycieli – posiadających wykształcenie podstawowe lub niepełne średnie – urządzano 5-miesięczny kurs wprowadzający z przedmiotów pedagogicznych. Następnie kierowano ich do pracy. W ciągu 5 lat kończyli oni następnie kolejne klasy, by otrzymać w końcu matury. Ta forma kształcenia była konieczna ze względu na olbrzymi brak kadr, jednakże sprawność

jej była niska. Komisje Rejonowe przekształcono z czasem w Korespondencyjne Liceum Pedagogiczne. Początkowo kształcono również grupy posiadające maturę ogólnokształcącą. Po długiej przerwie jedna taka grupa zrobiła maturę pedagogiczną także w 1959 r.

Kształcenie stacjonarne było zasadniczą formą pracy Liceum. Początkowo istniały tzw. klasy semestralne, przerabiające w ciągu roku program dwu lat w zakresie gimnazjum, a następnie dwuletnie liceum. W czerwcu 1948 r. otrzymał świadectwa dojrzałości pierwszy powojenny rocznik maturzystów, liczący 14 osób. Oto ich nazwiska: Jadwiga Betlejemska, Edmund Fryckowski, Henryk Kaja, Klara Kasprzak, Damiana Kołaczyk, Jerzy Liniecki, Henryk Malina, Julia Masana, Zofia Masana, Maria Mrozińska, Róża Niewiadomska, Barbara Tomaszewska, Tadeusz Winnicki, Daniela Zdanowicz. Od roku 1950 Liceum kończą dwie grupy rocznie. W sumie w okresie 1945-64 bydgoskie Liceum Pedagogiczne wydało 1384 dyplomy.

W latach 1949-53 działał również w Liceum Pedagogicznym Centralny Kurs Języka Rosyjskiego dla nauczycieli. Pierwsze cztery kursy były półroczne, następne dwa – roczne. W sumie przeszkolono prawie sześćset osób. Na kurs przyjmowano osoby znające już język rosyjski. Kurs dawał uprawnienia do nauczania języka rosyjskiego w szkołach średnich – pod warunkiem dalszego uzupełniania swych kwalifikacji. Dyrektorem kursu była mgr L. Mischuk („Bydgoszcz w latach 1920-1970”).

W porównaniu do szkół powstałych po II wojnie światowej wszystko tu było inne. Budynek powstały na początku XX wieku, reprezentował solidne, czerwonoceglane, urzędowe budownictwo pruskie. Przed I wojną światową seminarium przygotowywało nauczycieli do klas I-IV oraz nauczania religii katolickiej. W seminarium można było rozmawiać tylko po niemiecku. Czytając akta szkolne w archiwum wojewódzkim/rejencyjnym na ulicy Dworcowej, trafilem na dokumenty dotyczące usuwania z seminariów nauczycielskich, np. w Kcynii, uczniów, którzy ośmielili się w szkole mówić między sobą po polsku. To samo znalazłem z innych źródeł o podobnych zdarzeniach w seminarium w Chełmnie.

W okresie międzywojennym Seminarium bydgoskie odegrało ogromną rolę w repolonizacji miasta i okolic. Oprócz nauczania stacjonarnego w latach 20. dodatkowo były też organizowane kursy wieczorowe dla kandydatów na nauczycieli, które zaliczał jednak niewielki odsetek uczących się. Część kadry nauczającej pochodziła z byłej Galicji.

Trafilem także na przedwojenne akta powizytacyjne szkoły. Wizytator kuratorski z Poznania ocenił m.in. negatywnie pracę polonisty Jana Sztudyngera, którego uczniowie mieli słabe wyniki w ortografii. Wywołany tłumaczył się, że

kończąca klasa, w której był nauczycielem języka polskiego, miała w ciągu swej edukacji, ośmiu polonistów, co musiało źle wpłynąć na wyniki. Dlatego odpowiedzialność na błędy trzeba rozłożyć na wszystkich jego poprzedników.

Zaintrygowany nazwiskiem, zwróciłem się z pytaniem do naszego seniora, Kazimierza Wrzosa, który jako jeden z nielicznych ocalał z bydgoskiego pogromu w 1939 r. Czy to ten Sztadynger?

– Tak, Jaś u nas przez rok pracował. Na przerwach zrywaliśmy boki, słuchając jego na poczekaniu układanych fraszek. Po roku wrócił jednak do rodzinnego Krakowa.

Muszę w tym miejscu powiedzieć, że czasy „późnego Gomułki” (1956-1970) były jeszcze dość mocno purytańskie, a dialogi w świecie inteligentkim kulturalne, bardziej przypominające okres przedwojenny niż prymitywne odzywki „aktywu robotniczego i lumpenproletariatu” lub obecnych pseudointeligentów. Chociaż już wówczas w dialekcie powszechnym zaczęło pojawiać się słowo na „k”, które o dziwo dziś stało się terminem dominującym, określającym zarówno stany emocjonalne, jak i poznawcze. Niektórzy potrafią nim opisać, zabarwieniem i intonacją, wszystko, co czują i wiedzą.

Wiadomo jednak, że człowiek we wszystkich epokach lubił dialogi nie tylko eleganckie. Dlatego po 1956 roku, gdy zaczęto wydawać fraszki Jana Sztadyngera, ich lekka nieprzyzwoitość święciła tryumfy i były one powszechnie znane. W tym momencie przypomniały mi się dwie z nich:

Nie da ci ojciec, nie da ci matka,

Tego co może dać ci sąsiadka.

Lub:

Był las, był mech,

Powiedziała: niech.

Wróćmy do spraw poważnych. Jak już napisałem wcześniej, kadra nauczająca i absolwenci Seminarium zapłacili ogromną daninę krwi w 1939 roku i latach późniejszych. Stanowili dużą część bydgoszczan zamordowanych przez Niemców. Na ścianie, przy schodach prowadzących na pierwsze piętro, po wojnie umieszczono kamienną tablicę z nazwiskami zamordowanych profesorów Seminarium/Liceum Pedagogicznego.

Liczby pomordowanych absolwentów dotychczas ściśle nie ustalono, ale z pobieżnych szacunków wynika, że wynosiła ponad stu.

Po II wojnie światowej znów trzeba było szybko kształcić nowe kadry nauczycielskie, wytrzebione zarówno przez Niemców, jak i Rosjan oraz Ukraińców. W latach 1945-48 w Liceum Pedagogicznym dominowała jeszcze kadra i duch

przedwojenny. W latach 1949-56 wszystkie licea pedagogiczne podlegały ostrej indoktrynacji oraz częściowej wymianie kadr. W każdym liceum pedagogicznym reprezentował(a) go głównie etatowy „organizator(ka)” ZMP oraz niektórzy nauczyciele.

Wydaje się, że bydgoskie LP na tle innych z naszego województwa zachowało w latach stalinizmu duży umiar, przede wszystkim ze względu na kadrę, która była tu zatrudniona. Dyrektorem Liceum w latach 1950-54 był Ludwik Bandura, przed wojną autor podręczników historii dla szkoły powszechnej, w którym było sporo akcentów antybolszewickich. Jak mu się udało uchować na tym stanowisku – naprawdę nie wiem. W połowie lat 50. przeprowadził się do Gdańska, gdzie rozpoczął pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Tam uzyskał docenturę i profesurę z pedagogiki i był długoletnim rektorem uczelni.

Na jego miejsce mianowano Wawrzyńca Kolibabkę – historyka rodem z Rawicza, z rodziny powstańców wielkopolskich. Był to stary kawaler, ale tęskniący do płci pięknej, co czasem widoczne było w jego rozmowach. Dziś mógłbym powiedzieć za aktorem Michnikowskim (jego ekscelencja z „Seksmisji” Machulskiego), że *miał dziwną nieśmiałość do kobiet*. Zdumiało mnie, że mieszkał w izdebce znajdującej się za gabinetem dyrektorskim. Miał wprawdzie małe, służbowe mieszkanie na mieście, ale odstąpił je swemu siostrzeńcowi, a gdy ten ożenił się z narajoną, częściowo przez wuja, absolwentką polonistyki SN-u, całkowicie przekazał im to lokum. Żywił się w szkolnej stołówce, która nie serwowała wykwintnych dań. Wieczorami robił obchód internatu, mieszczącego się na poddaszu liceum. Uczennice starszych klas trochę z niego pokpiwały, podejrzewając, że lubi się im przyglądać, ale obydwie strony zachowywały się w ramach dozwolonych przez ówczesne, mocno tradycyjne obyczaje.

W soboty i niedziele przy dyrektorskim biurku przeglądał wszystkie dzienniki, stawiając znaki zapytania w rubrykach tematów lekcyjnych, które czasem nauczyciele zapominali wpisywać. Szczególnie dużo tych znaczków było przy moich lekcjach, bo często przejęty treścią omawianych tematów zapomniałem, że najważniejszy jest porządek w aktach.

Postać dyrektora kojarzyła mi się czasem z zachowaniem starego subiekta Rzeckiego, też mieszkającego na zapleczu sklepu Wokulskiego i opracowującego w niedziele strategię działań na następny tydzień. W każdym razie dyrektor dobrze zarządzał szkołą. Jego działania były spokojne, przewidywalne i dobrze wpływały na atmosferę pracy.

Jego zastępcą był Marian Horwat – fizyk. Bardzo kontaktowy i przyjazny ludziom, lubiany przez młodzież. Czasem opowiadał mi o swoich losach. Pochodził z chłopskiej rodziny, która w latach 30. wyemigrowała za chlebem na pogranicze

francusko-belgijskie. Tam, podobnie jak większość pochodzących z Polski robotników w hutach i kopalniach departamentu Nord i Pas de Calais, przesiąkła lewicowymi poglądami.

Po wojnie, podobnie jak tysiące innych, wrócił z rodziną do Polski. Tu ukończył studia. Świetnie znał język francuski, dlatego w latach 50. był wykorzystany jako tłumacz w grupie polskiej Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli między Wietnamem Północnym (komunistycznym) i Południowym. Oczywiście nasi potajemnie wspierali Północ. Kiedyś wspominał, jak najedli się wstydu, gdy pewnego dnia, goszcząc przedstawicieli delegacji zachodnich w tej komisji, nagle zobaczyli, że przez okno wszedł do nich uzbrojony oficer Armii Ho Chi Minha.

Marian Horwat pracował dodatkowo w specjalnej wieczorowej szkole średniej dla pracowników aparatu partyjnego, administracyjnego i służby bezpieczeństwa, których powojenną legitymacją była *nie matura, lecz chęć szczerą*. Nauczycielem polskiego w tej szkole był Jan Malinowski – poszukiwany równocześnie przez te służby za swoją aktywną pracę w Armii Krajowej, o czym pisze w swoich „Strzępach wspomnień”.

Już od początku lat 50. okazało się jednak, że matura jest potrzebna. Poziom intelektualny tych ludzi był różny. Kolega Horwat chwalił wobec mnie chęć do pracy i inteligencję sekretarza organizacyjnego Komitetu Wojewódzkiego, a w latach 70. I sekretarza KW PZPR – Józefa Majchrzaka.

Pod koniec roku szkolnego w dyrekcji nastąpiły zmiany. Wawrzyniec Koliabka został dyrektorem powołanego nieco wcześniej Studium Nauczycielskiego, zastępując Stanisława Tyczyńskiego, który dość szybko, z nieznanymi mi powodów, był usuwany z zajmowanych stanowisk, bo przecież pod koniec moich studiów był dyrektorem administracyjnym UMK.

Dyrektorem LP został Marian Horwat. Po krótkim czasie wyjechał do pracy nauczycielskiej w byłej kolonii francuskiej – Gwinei. Było to po 1960 roku, zwanym potocznie „rokiem Afryki”, kiedy to większość „czarnej” części kontynentu uzyskała niepodległość, a obóz socjalistyczny, czytaj ZSRR, chciał jak najwięcej z tych państw, wciągnąć w orbitę swych wpływów. Po kilku latach wrócił, ale Liceum Pedagogiczne już nie istniało, więc pracował, wraz z żoną historyczką, w Technikum Samochodowym, zajmując z rodziną niewielkie mieszkanie w domku służbowym obok szkoły. Dość szybko zmarł.

Dyrektorem w ostatnich latach istnienia Liceum (1961-64) został Kazimierz Wrzoś, mówiący pięknym lwowskim zaśpiewem. W latach I wojny światowej był żołnierzem II Brygady Legionów dowodzonej przez Józefa Hallera, mającej chlubną kartę wojenną, szczególnie z walk w Karpatach Wschodnich.

Gdy się o tym dowiedziałem (zainteresowany zbytnio się tym nie chwalił, co wtedy było zrozumiałe), zacytowałem mu nauczony z przedwojennego

podręcznika historii wiersz wyryty na postawionym przez legionistów pamiątkowym krzyżu koło Rafajłowej.

*Młodzieży polska, patrz na ten krzyż,
Legiony polskie wzniosły go wzwyż,
Przechodząc góry, doliny i wały,
Dla Ciebie, Polsko, i dla twej chwały.*

Tym wierszem, który cytowałem też młodzieży na lekcjach, zjednałem sobie „Starego Leguna”. Zaczął mi się nawet trochę zwierzać. Kiedyś, chyba w Funce, gdy przyjechał do nas na obóz harcerski, nagle przy ognisku, powiedział:

– Najgorszy, kójlego, nie był ani ostrzał ani głód. Najgorsze były wszy. Czasem przy ogniskach, zdejmowaliśmy z siebie całe odzienie i wytrząsaliśmy je nad płomieniem. Wszy wpadały do ognia, a my patrzyliśmy na to z radością.

Tę radość i satysfakcję czuło się w jego głosie nawet po tylu latach...

Po 1920 r. osiedlił się, jak wielu z Galicji, w Bydgoszczy, nauczając przedmiotu zwanego wtedy ze skandynawska „sloidem”, spolszczonym potem na prace ręczne. To był duży przewrót w nauczaniu. Młodzież miała nie tylko rozwijać się intelektualnie, jak w szkołach XIX-wiecznych, lecz także sportowo i manualnie. Ponieważ do prowadzenia tego przedmiotu potrzebne były pracownie i wykwalifikowane kadry, Kazimierz Wrzós w każde wakacje przynajmniej miesiąc spędzał jako nauczyciel na kursach dokształcających, dobrze płatnych. W ten sposób udało mu się zbudować dom, a pod koniec lat 30. kupić „polskiego fiata”: mały, czteroosobowy samochód, który rozpoczęto produkować w tym czasie.

– Niestety, kójlego, żona uparła się, by zbudować ten dom w Stryju, skąd pochodziła. Ja jej mówię, zbudujmy w Przemyślu, to piękne miasto, a ona swoje – jak to baba: a Stryj nie jest ładny?! No i masz: był dom i nie ma domu, bo został za granicą!

Ale za to samochód uratował nam życie. Wyjechaliśmy z Bydgoszczy 3 września, po kilku dniach byliśmy nad Sanem i tam ocaleli. Nie tak, jak reszta nauczycieli z Seminarystów.

Po II wojnie Wrzós uczył nie tylko w Liceum Pedagogicznym, ale i w Państwowych Średnich Szkołach Technicznych przy obecnym rondzie Grunwaldzkim. Moją przyszłą Żonę uczył rysunku technicznego w Technikum Chemicznym. Opowiadała mi kiedyś, jak ze strachem, połączonym jednak z uciechą, była uczestniczką zaliczania prac w jej klasie. Wrzós brał kolejno wykonane rysunki wskazywał na ich braki i rzucał nimi w powietrze. Rysunki fruwały po klasie, a strach zaczynał zmieniać się w uciechę. Ale za tydzień trzeba było oddać rysunek zgodny z zasadami. Dziś taki nauczyciel byłby opisany w prasie, ale wtedy przyjmowano to naturalnie i dawało dobre rezultaty.

Dyrektora Wrzosia wszyscy lubiliśmy, traktując go jednocześnie jako człowieka trochę z innej epoki. Pamiętam też, że bardzo szanował, lubił i trochę się bał naszej wizytatorki. Kiedyś zapytałem go, patrząc na oszkloną szafkę:

– *Panie dyrektorze, czemu Pan trzyma tak długo tę pomarańczę?*

– *Przecież kolega wie, że cytrusy są tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, przyjedzie pani Smolska, to ją poczęstuję.*

Niestety, przyjechała dopiero po dwóch miesiącach. Gdy w obecności kilku osób pomarańcza była uroczyście wyjmowana, okazało się, że od strony niewidocznej jest całkowicie na siwo zapleśniała i trzeba ją było wyrzucić.

Pracowaliśmy jeszcze razem w latach 70. w Studium Nauczycielskim i WSN-ie.

Matematyków w Liceum było dwoje. Zapamiętałem starszego, p. Piotrowskiego, który był wychowawcą klasy równoległej z moją klasą pierwszą. On „a” (koedukacyjna), ja „b” (żeńska). Uczył dobrze i spokojnie, co w matematyce jest bardzo ważne. W sytuacjach trudnych mówił, szczególnie do dziewczyn: „Gula”, a one rewanżowały mu się przezwiskiem dość pieszczotliwym: „Piciu”. Dużo absolwentek poszło potem na studia matematyczne.

Było też dwoje rusycystów. Jedna, bardzo wesoła, wtedy jeszcze niezamężna, miała czasem w pokoju nauczycielskim dość zdecydowane jak na tamte czasy odzywki. Zapamiętałem jedną z nich – opinię o pewnym panu w średnim wieku:

– *On powinien pić herbatę z drutem – oświadczyła.*

Jak byłem jeszcze wtedy naiwny, świadczy moje zapytanie:

– *Dlaczego?*

– *Herbatę można wysuszać, a drut by pozostał!*

Po roku czy dwóch ze świeżo zaślubionym mężem wyjechała, zdaje się, do Warszawy.

Drugim rusycystą był Aleksander Zujewski, filolog klasyczny po Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Był to człowiek ogromnej erudycji i kultury. Bardzo opanowany. Uczył języka rosyjskiego zarówno z konieczności życiowej, bo na filologa klasycznego nie było zapotrzebowania, jak i z zamiłowania do wielkiej literatury rosyjskiej. Jego pasją prywatną był brydż. Zmarł, mając ponad sto lat, w 2010 roku, zachowując do końca jasność umysłu.

Najważniejszą pozycję w szkole mieli poloniści i nauczyciele wf. Języka polskiego uczyli kresowiaci: po Uniwersytecie Lwowskim Jana Kazimierza – Julian Romanowski, po wileńsko-toruńskim – Jan Panasewicz. Stanowili świetnie uzupełniającą się, ale zupełnie różną „jedność przeciwieństw”.

Julian Romanowski był wielbicielem naszych wielkich romantyków, a szczególnie Juliusza Słowackiego. M.in. założył teatr szkolny, opracowując z młodzieżą dramaty Słowackiego. Widziałem wystawioną pod jego kierunkiem *Lillę Wenedę*,

w której sam też występował jako ślepiec Derwid. Młodzieży dawał szeroki oddech i polot literacki, mniej przywiązując wagę do erudycji typu pamięciowego. W następnych latach stałem się trochę jego powiernikiem. Opowiadał mi np. jak w czasie wakacji na Polesiu (*Polesia czar* – śpiewało jeszcze wielu starszych), w trakcie rejsu statkiem po Pinie, zapoznał młodą, czarnowłosą córkę rabina. Zrobiła na nim takie wrażenie, że rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną, porwał prawie przemocą tę nową wybrankę i się z nią ożenił. Niestety, dzieliła ich spora różnica lat. Po wojnie żona wyjechała do Izraela, potem wraz z córką wróciła, a pożycie miało charakter mocno burzliwy. Żona była przewrażliwiona na tle możliwości flirtów starego już przecież męża z uczennicami liceum. Jedno jest pewne: bardziej zakochanego człowieka w polskiej literaturze niż J. Romanowski trudno byłoby znaleźć.

Człowiekiem pod względem charakteru zupełnie przeciwstawnym był Jan Panasewicz. Spokojny i opanowany, jego domeną była gramatyka. Uczniowie tę część języka polskiego opanowywali perfekcyjnie. Gdy ktoś popełnił w klasówce błąd ortograficzny lub stylistyczny, na początku następnej lekcji musiał wykazać na tablicy naturę tego błędu i dlaczego pisze się czy mówi w określony sposób. Przygotowywali to uczniowie pisemnie, na rozkładanej tablicy, na przerwie przed lekcją i krótko potem to zagadnienie nauczycielowi i kolegom wyjaśniali. Kiedyś poprosiłem, abym mógł hospitaować lekcję mgra Panasewicza i zrozumiałem, jak uczniowie i uczennice dogłębnie te zagadnienia wcześniej opracowywali. O braku dyscypliny czy zainteresowania na jego lekcjach nawet mowy być nie mogło! Gdy później pracował w Studium Nauczycielskim, wszystkim studentom pierwszego roku, niezależnie od specjalności, wprowadzono krótki sprawdzian ortograficzny. Wychodzono z założenia, że nie przystoi, żeby nauczyciel popełniał błędy ortograficzne. Tych, którzy sprawdzianu nie zdali, zapisywano na kilkumiesięczny kurs „miłośników ortografii” i dr – już wtedy – Panasewicz, na ogół skutecznie tę miłość do poprawnej pisowni im wdrażał.

Jan Panasewicz próbował też swych sił jako literat. Wydał nawet autobiograficzną powieść „Wyprawa do nikąd”, której bohater, pochodzący z Wileńszczyzny, zbudował własnym pomysłem łódź żaglową, koleją przewiózł ją do Gdyni i tam próbował nią żeglować. Niestety, sztorm w czasie pierwszego rejsu spowodował jej zatonięcie, a bohater z trudem został uratowany przez rybaków. Jego ulubioną formą turystyki były wyjazdy w plener na rowerze z podłączonym do przedniego koła silniczkiem. Na nim robił długie trasy, nawet na Kaszuby, nie przejmując się zbytnio kapryсами pogody.

Nie lubił wizyt u lekarzy i gdy pojawiła się przepuklina, całkowicie ją zlekceważył. Poddął się operacji w stanie mocno krytycznym i niestety przedwcześnie zmarł, bo chyba w 1981 roku.

Najważniejszymi jednak nauczycielami w liceum była dwójka wuefistów – Józef Szalla i Teresa Ciecierska. Można było czasem „omylić” coś w innych przedmiotach, ale wychowania fizycznego nie można było opuścić bez ważnej przyczyny, a na zajęciach uczniowie musieli wykazać maksimum zaangażowania. Często uczennice przychodziły na kolejne lekcje kompletnie wyczerpane. Nauczyciele innych przedmiotów skarżyli się czasem na to w trakcie rad pedagogicznych, ale i tak było wiadomo, że to nic nie pomoże. W owych czasach istniał pogląd, że nauczyciel szkoły podstawowej powinien być sprawny zarówno intelektualnie, jak i fizycznie, gotowy do nauczania wszystkich przedmiotów: od języka ojczystego i matematyki po muzykę i wychowanie fizyczne. Obydwoje wuefiści byli całkowicie podobni w postrzeganiu wagi swoich zajęć. Z panią Ciecierską spotykałem się tylko rok. W Gdańsku obroniła doktorat i prowadziła zajęcia w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego i WSP. Wyszła tam za mąż za profesora Akademii Medycznej, Szabuniewicza.

Ponieważ w naszym liceum przestano przyjmować nowe roczniki, twierdząc, że całość kształcenia będzie się odbywać na poziomie pomaturalnego Studium Nauczycielskiego, liczba klas co roku malała. Całość wf realizował jedynie Józef Szalla. Był on bardzo ciekawą postacią. Stosował jednoznaczne zasady wobec siebie, rodziny i uczniów. Żadnych kompromisów. Nazywaliśmy to po cichu „pruskim drylem”. Dawał on jednak dobre na ogół rezultaty, zawodząc czasem w sytuacjach jednostkowych.

Każdy uczeń wiedział, ile w danej klasie ma skoczyć w dal, wzwyż, jak wspinać się na drabinkach, po linie, ile wysiłku włożyć w skoki przez skrzynię, kozła, ćwiczenia na koniu. Liceum dysponowało o wiele większą kubaturowo salą gimnastyczną niż budowane przy tysiącletkach. Boisko szkolne posiadało w wydzielonej części wybudowane przez uczniów, pod kierunkiem prof. Szalli: bieżnię, skocznię w dal i wzwyż oraz stanowisko do rzutu kulą. Niestety, już za mojego pobytu w szkole część sportowa boiska uległa częściowemu zniszczeniu, bo rozbudowę szpitala płucnochorych rozpoczął ówczesny, zasłużony w zwalczaniu gruźlicy, dyrektor dr Stanisław Meysner. Wymógł on na władzach partyjno-miejskich przesunięcie o 10 metrów granicy między Liceum a szpitalem. Rzeczywiście, przy szczupłej działce szpitala było to konieczne, więc ze strony dyrekcji Liceum nie było protestu.

W tym samym roku co ja, pracę w Liceum rozpoczęli: Henryk Kaliski – fizyk świeżo po studiach i Henryk Kaja – psycholog, z którym się bliżej zaprzyjaźniłem.

Kaliski był przystojnym chłopakiem w moim wieku. Zgodnie ze sobą współpracując, przyjęliśmy odmienne wobec uczniów zasady postępowania. Ja

byłem początkowo raczej spięty i przesadnie surowy, Kaliski poszedł, na modną już wtedy, „fraternizację” z młodzieżą. Kiedyś z ważnych powodów musiałem wejść do klasy, w której prowadził lekcje, i okazało się, że mimo jego wykładu, panuje w pomieszczeniu kompletny rozgardiasz. Po roku albo może dwóch odszedł, głównie zresztą dlatego, że już nie było naboru do klas pierwszych i całej szkole wystarczył jeden fizyk. Stopniowo odchodzili następni, którym kończyły się zajęcia: sympatyczny mgr Bartosewicz, geograf po Uniwersytecie Wileńskim, i jeden z dwu muzyków, a także nauczycielka biologii, prezentująca dużą kulturę i wiedzę zawodową, mgr Barbara Wójcik.

W ostatnich – najwyższych – klasach najważniejsi byli: mgr Helena Budzianka, starsza niezamężna pani, pedagog po przedwojennych studiach w Uniwersytecie Poznańskim i mgr Henryk Kaja – psycholog.

Pani Helena była wzorową nauczycielką w starym stylu, można powiedzieć z *Pensji pani Latter*. Jak się dowiedziałem po latach na jednym ze zjazdów absolwentów, jej ulubione stwierdzenie brzmiało:

– *Dziewczeta, musicie być jak niezdobyte twierdze!*

Wywoływało to u nich raczej niemy, pobłażliwy sprzeciw, bo dopowiadały między sobą:

– *To zostaniemy, jak Pani Profesor, starymi pannami.*

Wiedzę pedagogiczno-dydaktyczną przekazywała jednak, w powszechnej opinii kolegów i uczniów, z dużym znanstwem i w sposób kompetentny.

Henryk Kaja, który stopniowo stał się moim powiernikiem, a można by nawet określić czasem psychoterapeutą, był synem Floriana Kai. Pochodził z rodziny mieszkającej na Mazurach, koło Szczytna, pielęgnującej w okresie zaborów polski język i tradycję. Jego ojciec Florian i stryj Leon byli nauczycielami. Po przegranej w lipcu 1920 r. plebiscycie w Prusach Wschodnich/na Warmii i Mazurach „optowali” za Polską i przenieśli się do Bydgoszczy. Tu obydwoj pracowali w szkole ćwiczeń i Seminarium Nauczycielskim: Leon jako polonista, Florian – matematyk. We wrześniu 1939 r. zostali aresztowani, jak większość polskiej bydgoskiej inteligencji, poddani perfidnemu znęcaniu, a później rozstrzelani w Dolinie Śmierci w Fordonie. W trakcie powojennych ekshumacji zwłok udało się na podstawie posiadanych przedmiotów zidentyfikować ojca i stryja. Kajowie zostali pochowani na cmentarzu Bohaterów Bydgoszczy na Wzgórzu Wolności.

Po wojnie Henryk poszedł na przyspieszone kursy w Liceum Pedagogicznym i w 1948 r., razem z grupą 17 innych, zdał maturę. Wśród zdających była też warszawianka, Barbara Tomaszewska, z którą potem się ożenił. Młodzi poszli na studia do Torunia: Henryk na psychologię, Barbara na etnografię. Później była nauczycielką geografii.

Henryk po ukończeniu studiów pracował jako psycholog w liceach pedagogicznych w Ostródzie i Szczytnie. W 1959 r. wrócili do Bydgoszczy, a jednym z głównych powodów była konieczność opieki nad starą matką. W miłości do niej była jednak widoczna zadra: żal co do postępuku matki w czasie okupacji.

Henryk był dla mnie niedoścignionym wzorem koleżeństwa i talentów nauczycielskich. Poszedłem kiedyś do niego na lekcję, której przedmiotem była tzw. mowa ciała, co było wtedy dla mnie odkrywczą rewelacją. Wykładowca zastanawiał się razem z uczniami nad sposobami odczytywania sygnałów płynących zarówno ze sposobu mówienia, jak i zachowania. Potem poprosił jedną z dziewczyn, które zgłosiły się do udziału w eksperymencie, aby stanęła przed tablicą. Na podstawie ruchów jej ciała zaczął określać, czy jest zdenerwowana czy nie, które procesy się u niej nasilają wskutek tego, że jest obiektem analiz. W końcu musiał z łagodnym uśmiechem przerwać eksperyment, bo uczennica pod wpływem tego, co o sobie słyszała, zaczęła wykonywać częściowo nieskoordynowane ruchy, nie panując nad sytuacją. Był bardzo lubiany przez młodzież.

Mnie też czasem pomagał. Od 1952 r., czyli szesnastego roku mojego życia, kiedy to we Wrocławiu, wskutek donosów Eliasza Fefera i „pracy operacyjno-słedczej” szefa rejonowej prokuratury wojskowej płk. Filipa Barskiego (właściwe nazwisko Badner), skazano mego ojca w procesie politycznym na 10 lat więzienia, większość życia spędzałem poza rodziną. Musieliśmy uciekać z Wrocławia. Siostra, po studiach lekarskich, z mężem, młodym inżynierem, projektującym w zespole zaporę wodną we Włocławku, zamieszkała tamże, a Mama wróciła do rodzinnej wsi Zgliczyn nad Wkrą. Ja, mając szesnaście lat (tak!), zacząłem studia historyczne w Toruniu. To, że jestem synem więźnia politycznego, odkryto dopiero po kilku miesiącach i dzięki dobrym opiniom kolegów-aktywistów i osiąganym wynikom, nie zostałem wyrzucony, w przeciwieństwie do koleżanki, którą usunięto już po tygodniu od rozpoczęcia zajęć. Jednakże przez całe trzy i pół roku, do czasu aż Ojca wypuszczono z więzienia wskutek „odwilży” po śmierci Stalina i rewelacjom bandyty Fleischfarba-Światło ogłoszonym w Radiu Wolna Europa, często przeżywałem stany depresyjne. Zresztą wtedy nie umiałem tego tak nazwać. Ratowały mnie wyjazdy do siostry i szwagra mieszkających we Włocławku oraz na wieś do Mamy, gdzie duży wpływ na mnie, jak mogę to dziś stwierdzić, mieli dwaj wujowie. Pomogły mi też trzy pobyty w sanatoriach kardiologicznych. Skierowany tam byłem przez uczelnianą lekarzkę Jadwigę Sylwestrowiczową, piękną kobietę, mającą wyjątkowe zasługi w dbaniu o zdrowie młodzieży studenckiej w Toruniu.

Po podjęciu pracy w Bydgoszczy, mimo że jestem z natury człowiekiem pogodnym, też mnie te stany depresyjne czasem nawiedzały. Ogromnie pomagały

mi rozmowy z Henrykiem. Zapamiętałem jedną z nich, gdy w kilka lat później schodziliśmy ze Wzgórza Wolności (ul. Chorwackiej) do Babiej Wsi jarem, który dziś jest terenem budowy trasy uniwersyteckiej. Szczególnie męczył mnie stan braku posiadania trwałej sympatii. Albo ja dziewczynie nie pasowałem, albo ona mnie, a nawet jak się coś na początku kleiło, to po dłuższym lub krótszym czasie okazywało się, że to nie to. Chciałbym ewentualnym czytelnikom uprzytomnić, że w owym czasie dominowały układy sympatii lub nawet narzeczeństwa, bez konieczności czy szybkiej dążności do zbliżenia płciowego. Wystarczyły spotkania, tańce, pocałunki.

– *Ty to masz dobrze. Masz ładną, kochającą żonę, a ja ciągle nie wiem, co ze mną będzie* – mówiłem, schodząc po schodach ze wzgórza.

– *Ciesz się* – odpowiadał Henryk – *tym stanem wolności, który masz. Ani się obejrzyś, jak będziesz usidloni. Małżeństwo to nie tylko euforia i stan zadowolenia, ale i kłopoty, różnice zdań, a czasem kłótnie.*

Sprawdziło się to wszystko. Mówię na podstawie pięćdziesięcioletniego stażu z jedną żoną.

Przypomina mi się w tym momencie konkretne zdarzenie z tego okresu. W czasie pierwszego roku pracy w Liceum, gdy jeszcze nie miałem służbowych kontaktów ze studium nauczycielskim, umówiłem się z pewną studentką tegoż SN na spacer. Poszliśmy szeroką ścieżką od ulicy Kujawskiej, górnym południowym obrzeżem skarpy na wschód, w stronę dzisiejszej alei Jana Pawła II. Co kilkadziesiąt metrów stały tam ławki. Na jednej z nich siedziało, z baterią bydgoskiego piwa, czterech czy pięciu młodzieńców, zwanych wtedy chuliganami. Gdy obok nich przechodziliśmy, zaczęli wulgarnie komentować nasz spacer. Odprowadziłem dziewczynę 20 metrów dalej i wróciłem do nich.

– *Panowie* – powiedziałem – *jak każdy z was czułby się po takich odzywkach, gdyby był na naszym miejscu?*

Nie czekając na odpowiedź, zawróciłem do dziewczyny. Ławkowiczów widocznie zamurowało, bo najpierw była cisza, potem oddalając się, usłyszeliśmy nagle głośne stwierdzenie jednego z nich:

– *A nie trzeba było sk...syna butelką w łeb?!*

Wtedy to, widząc też błądliwość dziewczyny, uprzytomniłem sobie, że z mojej strony była to nie odwaga, a raczej głupota.

Dalsza droga w majowej scenerii kwitnących drzew była już całkiem przyjemna. Widok był cudowny. W dół na skarpie kwitły owocowe drzewa, dalej na północ między Toruńską a Brdą rozpościerały się kępy olch oraz polany łąk (tam, gdzie dziś są parkingi i hala Łuczniczka), przecięte linią tramwajową. Za Brdą i ulicą Jagiellońską dominowały jeszcze sady owocowe z zaznaczonymi

gdzieniegdzie budowanymi systemem gospodarczym domkami jednorodzinnymi i kilkoma starymi domami na ulicy Pestalozziego oraz czynnymi jeszcze nad Brdą młynami Kenzera – dziś hotel „Słoneczny Młyn”. W tej masie zieleni dominował samotnie ogromny kompleks międzywojennego szpitala miejskiego (dziś Szpital Uniwersytecki im. Jurasza) pomalowany jeszcze wojennymi barwami ochronnymi. Potężna zabudowa Skrzetuska dopiero się zaczynała.

Gdy doszliśmy do szerokiej doliny (dziś aleja Jana Pawła II), którą płynął skrzący się od słońca strumień, znów ogarnął nas podziw. Po obydwu jego stronach były kompleksy sadów, w których dominowały kwitnące wtedy wiśnie, czereśnie i jabłonie.

W latach 60. zabudowano Skrzetusko, z ulicami Marii Curie-Skłodowskiej i Powstańców Wielkopolskich, w latach 70. Bartodzieje. Przeprowadzono też ulicę Szeroką (dziś Aleje Wyszyńskiego), rzeczywiście zaprojektowaną z rozmachem. Powstał też w latach 70. nowy most na Brdzie tuż obok dużego tartaku, gdzie dziś mieści się hipermarket Tesco. Dalej doliną strumienia poprowadzono trasę wylotową na południe. W kolejnych latach strumień wpuszczono w ziemię, w betonowe ogromne kręgi. Mamy dziś potężną trasę komunikacyjną, ale tamtego piękna z maja 1960 roku już nie ma. Natomiast spacer z dziewczyną okazał się jednorazowy. Uznała, że spotkania ze mną są zbyt niebezpieczne.

Wróćmy jednak do Liceum. To, czym szkoła specjalnie mnie zadziwiła, była autentyczna i jakby niewymuszona dyscyplina. Na dużej przerwie wszyscy musieli wychodzić na dziedziniec, chyba że padał deszcz lub był siarczysty mróz. Dziewczęta chodziły w granatowych fartuszkach z białymi kołnierzykami. Chłopcy bez mundurków, ale ubrani skromnie. Na dwie minuty przed końcem przerwy odzywał się dzwonek. Wtedy klasy ustawiały się przed wejściem parami i prowadzący kolejne lekcje wprowadzali je z dziedzińca do sal. Zazwyczaj, gdy grupa była przed odpowiednią salą, rozlegał się drugi dzwonek, głoszący rozpoczęcie lekcji. W trakcie zajęć większość nauczycieli nie miała kłopotów z dyscypliną. Przynajmniej ci, o których już pisałem. Młodych – Kaliskiego i mnie – próbowano czasem „ustawić”, ale przynajmniej w moim przypadku udawało to się rzadko.

Najgorzej było w klasie trzeciej, która uchodziła za najmniej zdyscyplinowaną i liczyła stosunkowo dużo chłopców. W momentach najmniej odpowiednich, gdy np. przedstawiałem sprawy przykre i poważne, byli mocno rozbawieni. Dopiero po kilku lekcjach zrozumiałem to dziwne zachowanie. Klasa mieściła się w jedynej sali szkolnej, która była szersza niż dłuższa. Jeden z rzędów ławek musiał z konieczności kończyć się aż za plecami nauczyciela. W tej pierwszej ławce, będącej poza możliwością ciągłej obserwacji, siedział bardzo miły uczeń o nazwisku Popek, pomagający zawsze przy rozwieszaniu map lub innych pomocy

dydaktycznych. Dopiero na którejś z lekcji, obróciwszy się niespodziewanie do mapy, zauważyłem, że ten sympatyczny, ruchliwy jak skra chłopak, mimicznie komentuje moje wypowiedzi. Przy omawianiu faktów smutnych jego mimika wyrażała tragizm. W sytuacjach wiktoryjnych wpadała w euforię, przy omawianiu spraw z zakresu kultury demonstrowała pełen zachwyt itd. Klasa miała ubaw po pachy, a ja początkowo nie wiedziałem, co zrobić, tym bardziej, że wychowawczyni klasy p. Machalińska uprzedziła mnie lojalnie, że z nimi trzeba uważać.

Przyjąłem w końcu następujący sposób postępowania: nic nie mówiąc, na następnej lekcji przepytalem żartownisia dość gruntownie i gdy wyszła mierność jego wiedzy, powiedziałem mu z serdecznym uśmiechem:

– *Tym razem ci nie poszło, ale w przyszłości z pewnością otrzymasz ocenę pozytywną.*

Gdy na kolejnej lekcji znów go zapytałem, z podobnym niestety rezultatem, Popek pojął. Na następnych lekcjach sam się zgłaszał, historię polubił, a oceny doszły do bardzo dobrych. Zainteresowany po maturze poszedł do szkoły oficerskiej, odchodził na emeryturę jako pułkownik Wojska Polskiego.

Przede wszystkim początkowo byłem spięty z naturalnych przyczyn: była to jednak szkoła średnia o renomowanym poziomie, toteż na pierwszy okres klasyfikowałem bardzo surowo. W efekcie okazało się na radzie pedagogicznej, że wystawiłem tyle ocen niedostatecznych, co wszyscy pozostali nauczyciele razem wzięci. Dyrektor Kolibabka, referując to, w pewnym momencie zapytał, czy rzeczywiście jestem przekonany, że powinienem pracować w tej szkole. Odpowiedziałem, zgodnie z przekonaniem, że obejmując nauczanie przedmiotu po tak wybitnych specjalistach, bałem się zaniżyć poziom.

– *No tak* – powiedział już łagodniej dyrektor i przeszedł do kolejnych kwestii.

Dopiero potem uprzytomniłem sobie, że myśląc szczerze o poziomie zajęć swojego poprzednika mgra Kiewisza, niechcący pochwaliłem też samego dyrektora, który uczył historii w jednej klasie oraz przedmiotu dydaktyka historii w klasach ostatnich.

W następnych miesiącach sytuacja się unormowała. Znalazłem „klucz” do mentalności wychowanków, a uczniowie przekonali się, że historii trzeba się uczyć. Wracając jeszcze do szkolnego drylu, pewnego wieczoru przeżyłem lekki szok. Samorząd szkolny, za zgodą dyrekcji, w ciągu roku szkolnego oprócz studniówki i balu maturalnego organizował kilka potańcówek dla całej młodzieży. Ze względu na deficyt chłopców zapraszano zazwyczaj technikum mechaniczne znad starego kanału bydgoskiego, czyli dzisiejszego Węzła Grunwaldzkiego.

W trakcie jednej z tych potańcówek, podczas której miałem dyżur wspólnie z J. Szallą, miało miejsce następujące zdarzenie: gdy cała aula wirowała w tańcu,

wszedł nagle na podium nasz wuefista i stanowczym, przeciągającym samogłoski barytonem oświadczył:

– *Oorkiestra stoop!*

Gdy umilkła, a wszystkie pary stanęły patrząc na niego, powiedział:

– *Jeśli Krystyna Dacka nie przestanie się tak przytulać do partnera, przeerywam imprezę!*

W tym momencie pomyślałem, że przeholował! Jak można robić taką przykrość, w taki sposób!

Tymczasem okazało się, że ta sympatycznie uśmiechnięta dziewczyna wcale się tym zdarzeniem nie przejęła. Odniosłem nawet wrażenie, że przytulała się do partnera bardziej niż poprzednio. Reszta tańczących również nie przejęła się tym incydentem.

Z Szallą miałem jeszcze dwa nieprzyjemne spięcia, obydwą przegrane. W połowie roku zgłosił na radzie pedagogicznej wniosek, by usunąć ze szkoły uczennicę mojej klasy o nazwisku Bazali.

– *Dlaczego, przecież jest to dobra i spokojna uczennica* – oświadczyłem.

– *Ale często ma zwolnienia z wf, a niektórych ćwiczeń nie umie wykonać* – uzasadnił.

Decyzję odłożono, a ja na drugi dzień odbyłem z uczennicą rozmowę. Okazało się, że ma ona reumatoidalne zapalenie stawów, wynikające ze złych warunków mieszkaniowych. Po zapowiedzeniu się, poszedłem do ich domu na ulicę, nomen omen Biedaszkowo. Był to domek prawie przy lotnisku, o lichych ścianach i podłodze bez piwnicy, od której szło wilgotne zimno. Rodzice byli jeszcze bardziej schorowani niż córka. Okazałem się bezradny. Poszedłem nawet do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (czyli do ówczesnego Urzędu Miejskiego), ale w wydziale lokalowym powiedziano mi, że rodzina ta jest już zarejestrowana, ale takich jak oni, w jeszcze gorszej sytuacji, jest kilka tysięcy. A Józef Szalla nie ustąpił i uczennica z płaczem musiała się przenieść do liceum ogólnokształcącego.

Drugie spięcie miałem z nim, gdy organizowałem letni obóz w Sudetach. Skądś się dowiedział, że m.in. została na ten obóz zakwalifikowana – nazwijmy ją – Krystyna S. Na najbliższej radzie pedagogicznej J. Szalla oświadczył:

– *Ona nie może jechać, gdyż ma słabe zdrowie.*

– *Wydaje mi się, że na lekcjach widziałem ją zdrową, poza tym jest z biednej rodziny i dwa tygodnie w górach dobrze by jej zrobiły, szczególnie jeśli jest słabego zdrowia* – odpowiedziałem.

– *Ale opuściła kilka lekcji wf, przynosząc zaświadczenia lekarskie.*

Włączyli się inni nauczyciele twierdząc, że Krystyna ma bardzo dobre wyniki w nauce i należy jej się ten wyjazd.

– *W takim razie niech jedzie* – oświadczył Szalla.

Odetchnąłem, bo mi było Krystyny naprawdę żal. I w tym momencie, po dramatycznej przerwie – dokończył. – *Z tym że ponieważ może jechać na obóz, więc jej stan zdrowia jest dobry i ja postawię jej za lekceważenie i brak wyników z wf niedostateczny na koniec roku.*

Dalsza dyskusja była bezcelowa.

Po zebraniu podszedłem do niego i powiedziałem w sposób zdecydowany.

– *Cenię pana jako nauczyciela, widzę, ile pan w tym zakresie zrobił, ale jako wychowawca na pewno pan źle postąpił!*

Nie odpowiedział ani słowa. Dziś, w czasach bardzo nadwyreżonej dyscypliny społecznej, powstaje u mnie wątpliwość, granicząca z pewnością, że zasada relatywizmu i postępowanie „róbta co chceta” jest większym niebezpieczeństwem niż poprzednie dążenie do przestrzegania obowiązków i zasad.

Mimo to w jakiś sposób się lubiliśmy. Ja odnosiłem się do niego z dużym szacunkiem również i później, gdy pracowaliśmy w Studium Nauczycielskim i Wyższej Szkole Nauczycielskiej, on rewanżował się, zapraszając mnie na kilkuniedniowe spływy kajakowe, które organizował dla studentów na trasie Koronowo – Bydgoszcz. Może opiszę tu jeszcze jedno prawdziwe zdarzenie, które miało miejsce z dziesięć lat później.

Józef Szalla, widząc, że większość kadry liceum, a później SN-u się doksztalca, postanowił, nie mając magisterium, zapisać się na zaoczne studia w AWF. Poszczególne lata zaliczał wzorowo, szczególnie w pływaniu i grach sportowych. Już po pięćdziesiątce otrzymał z wyróżnieniem stopień magistra wf. Jednakże kilka lat później zaczęły się jego problemy sercowe, związane głównie z zarastaniem tętnic. O stentach w tych latach nikt jeszcze nie słyszał. Gdy zorientował się, że zmiany są nieodwracalne, postanowił pójść na komisję lekarską w celu przyznania uprawnień rentowych.

Znam na ten temat następującą wersję zdarzenia: gdy przed Wysoką Komisją pokazał swój tors i umięśnienie, trójka lekarzy wpadła zdaje się w stan zazdrości i po lekkim przyłożeniu fonendoskopu i osłuchaniu serca oraz płuc zgodnie oświadczyła, że podstaw do przyznania świadczeń nie widzi. Mgr Szalla wyszedł z sali mocno podenerwowany i na schodach w okolicy parteru po prostu zasłabł. Zrobiło się zamieszanie. Inni pacjenci i personel pomocniczy wciągnęli go znowu na piętro przed oblicze zmieszanej Komisji próbującej go tym razem ratować. Po pewnym czasie delikwent zebrał się, wstał i oświadczył swoim donośnym, władczym głosem.

– *Aa tteeraaz to ja was wszystkich oddam doo sądu!*

Całość skończyła się pomyślnie dla wnioskodawcy. Niestety, stan jego

zdrowia pogarszał się i po dalszych kilku latach zmarł. Jego syn poszedł w ślady ojca. Ukończył wychowanie fizyczne w Studium Nauczycielskim, potem AWF i uczył w V LO na Kapuściskach. Gdy po latach zobaczyłem go na ulicy – zdębiałem. Szedł naprzeciw mnie z uśmiechem mój kolega z Liceum – Józef Szalla.

Nie mogę się oprzeć przed opisaniem jeszcze jednej sytuacji dotyczącej „pruskiego drylu”. Portierem w liceum był dorabiający do chudej emerytury stary, sympatyczny pan. Bardzo lubiłem słuchać jego opowiadań z młodości, którą spędził jako frajter w gwardii cesarza Wilhelma II. Opisy musztry i zwyczajów panujących w tej elitarniej jednostce pruskiego Wehrmachtu, a szczególnie systemy czyszczenia butów i mundurów były dla mnie fascynujące. Był mi niezwykle życzliwy. Po paru miesiącach wczesnym rankiem wybierałem się z grupą młodzieży liceum na wycieczkę do Krakowa. Zbiórka zebranych uczennic i uczniów nastąpiła na korytarzu przy wyjściu i poprosiłem portiera o otwarcie drzwi. Ten odmówił.

– *Dlaczego?* – zapytałem dawnego żołnierza.

– *Bo Pan Dyrektor zarządził, by otwierać drzwi wejściowe o godzinie szóstej, a teraz jest godzina piąta.*

– *Przecież pan wie, że jedziemy na wycieczkę! Ucieknie nam pociąg.*

– *Ja to rozumiem, ale Pan Dyrektor zabronił otwierania drzwi!*

Kilka minut dalszego przekonywania odbijało się od niego jak od ściany. Dopiero groźba, że będę zmuszony obudzić dyrektora i jego gniew spadnie na portiera, doprowadziła do przekręcenia klucza. Portier robił to z takim poczuciem winy i złamania rozkazu, że aż mi go było żal, chociaż musieliśmy na dworzec mocno przyspieszać. Oto zalety i wady wychowania w pruskim ordnungu.

Może teraz więcej o sobie. Uczyłem historii i wiedzy o społeczeństwie. Na ogół mój konkretnoobrazowy sposób przedstawiania historii uczennicom i uczniom odpowiadał. Jednakże stwierdziłem, że łatwiej zapamiętują zagadnienia wydarzenia, często drugorzędne niż pojęcia i zjawiska historyczne, jak bym to ujął później – „procesy długiego trwania”.

gorzej było z wiedzą o społeczeństwie. Podręczniki do tego przedmiotu były mizerne, a wiele spraw trzeba było brać prosto z życia. Prawie połowa dziewczyn – mieszkająca w internacie – przez cały tydzień obracała się przeważnie w szkole, internacie i na boisku, rzadko wychodząc (poza niedzielą) na miasto. Ich wiedza o otaczającym świecie szczególnie politycznym była dość wąska. Wprowadziłem więc na lekcjach WOS dziesięciminutowe rozmowy, w których uczestniczyli tylko ci, którzy chcieli, oznajmiając, że wypowiadającym się będę dawał na kolejnych lekcjach najpierw ocenę dobrą, potem dobrą plus, na końcu bardzo dobrą – za aktywność. Natomiast nieaktywnych będę w każdym okresie przepytywał solidnie z materiału programowego.

Już po kilku tygodniach zauważyłem, że przed lekcjami WOS uczennice demonstracyjnie – abym widział – czytają na przerwach „Gazetę Pomorską”, a czasem nawet – o zgrozo! – „Trybunę Ludu”.

Na początku każdej lekcji WOS było omówienie najważniejszych wydarzeń bieżących. Uczniowie wiedzieli, że gdy przedstawią je z własnego punktu widzenia, dostaną lepsze oceny. Dlatego niektórzy specjalnie się przygotowywali. Czasem te dyskusje o problemach społecznych przedłużały się ze szkodą dla materiału programowego. Przypominam sobie jedną z takich całogodzinnych dyskusji na temat: czy istnieje w socjalizmie równość między ludźmi. Już w połowie lekcji wszyscy stwierdziliśmy, że takiej równości nie ma (ktoś podał przykład dyrektora PGR-u i pracującej tamże dojarki), a „równość szans” jest też iluzoryczna. Uczniowie myśleli, że w ten sposób mnie „kiwiają” czy oszukują, a ja myślałem z radością o tym, że stają się bardziej samodzielni w myśleniu, potrafiący dyskutować i bronić swojej argumentacji, przygotowując się do roli świadomych obywateli społeczeństwa i państwa.

W czasie mej pracy w Liceum nastąpiły wyraźne zmiany w zakresie dyscypliny nazwijmy ją „formalną”.

Wpływ na to miały ogólnokulturowe przemiany cywilizacji zachodniej, które z mniejszymi oporami niż w czasach stalinowskich docierały również do „obozu państw socjalistycznych ze Związkiem Radzieckim na czele”. (W popularnym wtedy dowcipie brzmiało to następująco: „niech żyje spółdzielczość pracy ze związkiem krawieckim na czele!”). W latach 60., a jeszcze bardziej w dziesięcioleciu Gierka (1970-1980), Polska stała się najbardziej otwartym, czasem określała jako najweselszym, barakiem w tym obozie.

Przenikała przede wszystkim muzyka (jazz, rock’n’roll), a w Polsce doszły jeszcze rodzime kompozycje muzyki poważnej na światowym poziomie (Lutosławski, Penderecki, Killar). Lata 1956-1970 to sukcesy europejskie i światowe filmowej sztuki polskiej, to wreszcie światowy i również polski ilościowy i jakościowy rozwój telewizji.

Te wszystkie zmiany znajdowały również odbicie w naszej szkole. Najwcześniej zmieniły się... pończochy. Dziewczyny w całej Polsce, w tym i nasze uczennice, zaczęły nosić kolorowe pończochy. Film *Nasfetera* pod tym tytułem był raczej odpowiedzią na to zjawisko niż jego przyczyną. Nauczyciele i dyrekcja naszej szkoły przyjęli to ze zrozumieniem, a dyrektor Wrzoś mówił kiedyś na radzie pedagogicznej:

- *Kóledzy, a niech se tam chodzą, cu nam to przeszkadza?*
- *Ale i spódnice mają coraz krótsze* – nieśmiało ripostowała p. Budzianka.
- *Jak mają zgrabne nogi, to daje to raczej pozytywne odczucia estetyczne* – replikował na to psycholog Henryk Kaja.

Mnie z tych zmian najbardziej podobały się dwie: twist, którego nauczyły mnie tańczyć maturzystki, a co przyjąłem z radością, traktując to jako swego rodzaju ćwiczenia gimnastyczne (w prasie pisano nawet o zwicnięciu stawów przy twistowych ewolucjach tanecznych) oraz pop-art. Szczególnie dziewczęce bluzki w czarno-białe paski. Idolem muzycznym tamtych lat stał się Polanka, pardon: Paul Anka, z jego kilkoma przebojami. Nie wiem, dlaczego jeden z nich śpiewano w przeróbkach w dziwnym międzynarodowym slangu:

Twist again,

Naczinajem tfista.

W kilka lat później gwiazdorem amerykańskiego radia Luksemburg (czytaj: Laksemburg) dla żołnierzy stał się kapral amerykańskiej piechoty morskiej, niejaki Elvis Presley, a po nim angielski zespół The Beatles. Obydwa te zjawiska trwały o wiele dłużej niż epoka z twistem. Właściwie można powiedzieć, że jeszcze dziś obserwujemy Beatelso- i Presleyomanię.

Lata 60. to również początek ruchów ekologicznych. Chociaż ja uważam, że w Polsce ich prekursorami było przedwojenne i powojenne harcerstwo. Pamiętam śpiewaną wtedy przez uczennice piosenkę zaczynającą się słowami *pola zielone...* z refrenem *upał i dym dokucza mi co dnia...*. A dziewczyny wyszkolone przez prof. Juszczyka śpiewały naprawdę pięknie, nie to, co dzisiejsza młodzież. Zresztą ówczesne piosenki, przeboje, były naprawdę melodyjne i miały chyba głębsze przesłania.

Pora powiedzieć nieco o swoich problemach i sukcesach w pracy nauczycielskiej.

Gdy minęło pierwsze kilka miesięcy początkowego stresu, stwierdziłem, że praca z uczniami sprawia mi coraz większą satysfakcję. Postanowiłem też niektórych z nich zachęcić do samodzielnego referowania wybranych zagadnień. Najlepszy referat opracował w klasie maturalnej Jerzy Weber na temat Józefa Piłsudskiego. Wtedy dominowały jeszcze o Marszałku sądy z przewagą negatywnych. Jurek omówił pozytywy i negatywy tej postaci, nawet te ostatnie nieco za mocno. Nagle na zakończenie podniósł głos i oświadczył: *uwążam, że był to najwybitniejszy Polak w naszych dziejach nowożytnych.*

Po latach, w końcu 1985 r., spotkaliśmy się w klinice Instytutu Kardiologii w Aninie. Obydwaj po operacji serca. On – jako wybitny ówczesny dziennikarz „Trybuny Ludu”, po zabiegu w Szwajcarii, ja – docent prowincjonalnej WSP – po operacji w klinice doc. Zbigniewa Religi w Zabrze. Doszło między nami do małej scysji politycznej, ale o tym w rozdziale o latach 80. Wróćmy do lat sześćdziesiątych.

W którymś z czasopism pedagogicznych znalazłem zachętę do organizowania tzw. sesji popularnonaukowych. Okazją stał się referat Chruszczowa na XXII

zjeździe KPZR z 1962 r. Głównym problemem sesji stało się zagadnienie: czy rzeczywiście w ciągu następnych 20 lat uda się, jak obiecywał Chruszczow, zbudować w ZSRR komunizm.

Po przedstawieniu przez kilku referentów założeń ekonomicznych oraz kulturowych w tym zakresie, odbyła się dyskusja. Przypominam sobie, że wątpliwości uczestników wzbudziła m.in. zapowiedź powstania w tak krótkim czasie jednego narodu radzieckiego. Mimo że wtedy cały świat, w tym i my, był pod wrażeniem pierwszego sputnika i pierwszego lotu człowieka w kosmos (Gagarina), największe kontrowersje wzbudził program rozwoju ekonomicznego – „dognat” i pieriegnat” Stany Zjednoczone.

Jeden z dyskutantów – Boguś Żyłko, obecnie prof. zwyczajny rusycystyki i filozofii w Uniwersytecie Gdańskim – powiedział wprost:

– Do roku 1957 mieszkaliśmy koło Grodna. Moja starsza siostra była księgową w kolchozie i wiem, że żadnego komunizmu ani porządnej gospodarki rolnej tam nie ma i nie będzie.

Ja starałem się zachować pozycję arbitra, mówiąc: pożyjemy, zobaczymy, może im się uda, chociaż wiem, jak to trudne. W końcu założyłem się z Bogusiem:

– Zobaczymy po dwudziestu latach. Wprawdzie ja też nie wiem, jak będzie, to jeśli wygrasz, postawię ci butelkę koniaku.

W latach 80. na jednej z konferencji na Uniwersytecie Gdańskim podszedł do mnie człowiek w średnim wieku i nagle zapytał:

– Panie Profesorze, a gdzie koniak?

Po momencie zdziwienia serdecznie się przywitaliśmy. Koniak wypiliśmy na ulicy Polanki w hotelu dla pracowników naukowych, gdzie Boguś jako adiunkt, wraz z żoną i dwójką dzieci, zajmował dwunastometrowy pokój z piętrowymi łózkami. Mimo schludności pomieszczenie wyglądało raczej na czteroosobową celę aresztancką. W tych warunkach Bogusław Żyłko zrobił doktorat i habilitację, stając się najwybitniejszym w Polsce tłumaczem i znawcą semiotycznej szkoły tartusko-moskiewskiej. Z korespondencji, którą sporadycznie utrzymujemy do tej pory, wiem, że przenieśli się potem do normalnego mieszkania, a obecnie ukończyli budowę domu jednorodzinnego.

Wróćmy do roku 1962. Wszyscy referenci i dyskutanci dostali oceny bardzo dobre. Niestety, okazało się, że dyskusja trwała jeszcze po lekcjach w internacie, a młoda wychowawczyni przejęta nieprawomyślnością poglądów uczniowskich złożyła na mnie donos w Komitecie Miejskim PZPR. Na dodatek dodała, że mówię też na lekcjach o inicjatywach i poglądach nowego papieża – Jana XXIII.

W kilka miesięcy później w czasie matury pojawili się w związku z tym na inspekcji: instruktor ds. szkolnych Bogdan Lewkow (syn bydgoskiego nauczyciela

zamordowanego przez Niemców w 1939 r.) oraz jego szef, sekretarz propagandy, z urodzenia góral, towarzysz Teodor Joniec. Siedzieli kilka godzin, słuchając wypowiedzi z historii i WOS (wszyscy uczniowie zdawali wtedy oprócz wymienionych j. polski, matematykę i pedagogikę z psychologią).

W końcu T. Joniec, którego wtedy poznałem, powiedział: *Sporo się od waszych uczniów dowiedzieliśmy – dziękuję*. Sprawa donosu upadła.

Jeszcze anegdota z tymże Jońcem. Jakiś czas później na konferencji w jego referacie usłyszałem:

– *Nam towarzysze nie jest potrzebna psychologia, nam jest potrzebna ideologia!*

W latach 70., gdy pracowałem w Wyższej Szkole Pedagogicznej, nagle na korytarzu przed salą, w której studenci zdawali egzaminy z pedagogiki, zobaczyłem zaocznego studenta, tegoż Jońca, nadal sekretarza. Zapytałem go wtedy żartobliwie:

– *No to jak jest z tą ideologią i psychologią?*

Chwilę stał oniemiały, a potem zaskoczył i z uśmiechem powiedział:

– *No nie, psychologia też jest potrzebna.*

Po 1956 roku w oświacie panowało duże ożywienie. Jak już pisałem, sprzyjała temu kilkuletnia „odwilż” lub – jak wtedy mówiono – „przełom październikowy”. W resorcie oświaty uosabiał ją minister Władysław Bieńkowski, jeden z najmądrzejszych ludzi w ówczesnym kierownictwie PZPR. Na gruncie praktyki pedagogicznej wyrażało się to m.in. w trwającej około 10 lat akcji tzw. odczytów pedagogicznych. Był to coroczny ogólnopolski konkurs na opisanie własnego – nauczycielskiego – nowatorstwa pedagogicznego. Wziąłem w nim udział, opisując swoje doświadczenia z wykorzystaniem w dydaktyce historii filmów oświatowych. Wprawdzie wtedy było ich jeszcze niewiele, ale ich zastosowanie wprowadzało coś nowego do sposobu nauczania. Mój odczyt otrzymał nagrodę w województwie i jedną z trzech nagród w skali kraju. Nagroda w wymiarze finansowym była niewielka – 1000 złotych – ale sprawiła mi dużą satysfakcję. Wręczenie nagród odbyło się w Warszawie, wręczał je, zdaje się, już nowy minister – Wincenty Tułodziński – poprzednio nauczyciel szkoły specjalnej. Ponieważ nie miał studiów, wśród nauczycieli mówiono, że ma „studia specjalne”. W trakcie tej imprezy poznałem również młodego polonistę z Lublina – Janusza Plisickiego – także zainteresowanego problematyką filmową, obecnie emerytowanego prof. zw. UMCS. Przez półwiecze utrzymujemy ze sobą przyjacielskie, chociaż przeważnie tylko korespondencyjno-telefoniczne kontakty.

W owym czasie do wyświetlania filmów szkolnych konieczny był projektor 16 mm. W szkole podstawowej dzięki kierownikowi Golińskiemu miałem go do

dyspozycji. W Liceum Pedagogicznym, mimo kilkukrotnych prób, szkoła go nie zakupiła, bo nie miała środków. W trakcie drugiego roku pracy odbyła się w naszym Liceum tzw. wizytacja frontalna, z udziałem mgr Wandy Smolskiej i kierownika oddziału kształcenia nauczycieli – mgr. Kazimierza Koniecznego. W części końcowej wizytacji wziął udział nawet kurator szkolny, Władysław Bachowski.

Nasza stała wizytatorka p. Smolska, która odnosiła się do nas z dużą empatią (wtedy powiedziałbym z sympatią, bo pojęcie empatii nie było jeszcze wtedy używane), zaproponowała, abym w trakcie rozmowy z kuratorem poprosił go o przydzielenie środków na zakup projektora filmowego. Zrobiłem to, niestety, w obecności Koniecznego, który ku mojemu zdziwieniu strasznie mnie wtedy zrugął.

Byłem tym mocno przejęty i z oburzeniem powiedziałem chwilę później p. Smolskiej, że niesłusznie zostałem w arogancki sposób potraktowany, bo nie występuję w swoim interesie tylko dla dobra uczniów itd.

Wizytatorka uspokoiła mnie i powiedziała, żebym się nie martwił. Rzeczywiście, po miesiącu projektor otrzymałem. Prawdopodobnie było to zasługą p. Smolskiej, która czuła do mnie – tak przypuszczam – uczucia matczyno-opiekuńcze, chociaż byłem w owym czasie trochę *enfant terrible*. Np. w czasie pierwszej swej wizytacji udzieliła mi kilku krytycznych wskazówek, pytając na zakończenie:

– *A pan, kolego, co o tym sądzi?*

Na to ja:

– *Sądzę wprost przeciwnie!*

Dziś, po półwieczu, wiem, że miała dużo racji, ale wtedy byłem nieco bezczelno-zadziorny. Również i szef oddziału kształcenia nauczycieli, p. Konieczny, nabrał do mnie przekonania, o czym świadczy następujące zdarzenie.

Jesienią 1962 roku świat stanął na krawędzi wojny nuklearnej. ZSRR pod wodzą Chruszczowa zaczął na Kubie rozmieszczać rakiety nuklearne, mogące razić całe Stany Zjednoczone. Prezydent Kennedy ogłosił morską blokadę wyspy. Na spotkanie ruszyły dwie floty, w tym atomowe okręty podwodne. Armie obydwu bloków wojskowych, NATO i Układu Warszawskiego postawiono w stan najwyższego pogotowia. Gazety, radio i telewizję w naszym bloku wychwalały oczywiście „pokojowy” Związek Radziecki i Kubę, przeciwko którym imperializm amerykański... itd.

Miałem wtedy lekcję wiedzy o społeczeństwie, na której przedyskutowaliśmy ten problem, a w wyrażonej przeze mnie konkluzji stwierdziłem, że odpowiedzialność za narażenie świata na klęskę wojny nuklearnej ponoszą obydwie strony. Stwierdzić, że winnymi są Chruszczow i Castro (do owej pory nawet go lubiłem) – już takim samobójcą nie byłem, tym bardziej, że lekcji przysłuchiwał

się przybyły z Torunia wojewódzki doradca metodyczny WOS, doktor historii – nazwijmy go – Iksiński. Po kilku latach dowiedziałem się, że ten przedwojenny doktor historii złożył na mnie donos w Kuratorium z propozycją natychmiastowego zwolnienia dyscyplinarnego. Na co usłyszał od kierownika Koniecznego i p. Smolskiej, aby się nie wygłupiał i nikogo o zdarzeniu nie informował.

Takie to były czasy...

Ale moralą powinien być inny. Nawet w czasach trudnych lub bardzo trudnych, wiele zależy od wzajemnych relacji międzyludzkich. Od życzliwości i po prostu – człowieczeństwa.

Przynajmniej raz do roku publikowałem swe przemyślenia pedagogiczne w „Gazecie Pomorskiej”. Oto jeden z tych tekstów z listopada 1963 roku, zatytułowany „Refleksje”.

Gdy idę pod górę schodami, wydaje mi się czasem, że przekleństwo o uczeniu cudzych dzieci zawiera jednak wiele gorzkiej prawdy.

Schody się kończą, człowiek głębiej oddycha, patrząc na rozpościerającą się ze wzgórza panoramę Bydgoszczy i za parę minut zaczyna codzienny kierat. Dzień wydaje się bezbarwny, uczniowie umieją jeszcze mniej niż zwykle, ech życie!...

A jednak coś jest w tym zawodzie, co powoduje, że ci, którzy zasmakowali, mimo wielu niekiedy oświadczeń, że odejdą, zostają na zawsze.

„Pewnie dziś wstał lewą nogą” – powiadają nieraz uczniowie. Oczywiście, samopoczucie nauczyciela jest wypadkową wielu czynników tkwiących w nim lub od niego niezależnych. Ale w jednym uczniowie się mylą. Nie sprawia nam satysfakcji stawianie niedostatecznych.

W czasie kontroli zasobów wiadomości czy umiejętności samodzielnego myślenia, nauczyciel sprawdza nie tylko ucznia. Kontroluje siebie, sprawdza skuteczność stosowanych metod, przypomina sobie błędy popełniane podczas prowadzenia lekcji, swoje wtedy niedostateczne zaangażowanie czy przygotowanie. I gdy oceny negatywne przeważają, ze szkoły wychodzi częściej zmartwiony nauczyciel niż uczeń.

Nasza praca absorbuje globalnie. Wielu jest wśród nas zapominalskich, bo myśli się o różnych naraz sprawach dydaktycznych i wychowawczych. Na uświadomienie sobie, gdzie położyło się okulary, czasu nie starcza.

Obracamy się wśród młodych, z ich czasem nieodpowiedzialnością, zmiennością, ale równocześnie świeżym spojrzeniem, większym niż u nas poczuciem radości i optymizmu. Dlatego dłużej niż w innych zawodach jesteśmy młodzi, nawet jeśli tego na pierwszy rzut oka nie widać.

Przyszliśmy do szkoły razem. Oni do pierwszej klasy, ciekawi, co ich tutaj spotka i ja – nowy nauczyciel – może więcej niż oni stremowany. Niedługo

skończą. Zmienili się wyraźnie. Fizycznie to już dorośli ludzie. Czy również intelektualnie?

Nie wiem.

Jeden z nich przez kilka lat niczym się specjalnie nie wyróżniał. Był „średni”. Obecnie ze zdumieniem obserwuję, jak się rozwinął. Jego sądy cechuje ostrość spojrzenia i umiejętność rozważnego argumentowania. Przejawia zainteresowanie problemami, które z pewnością można zaliczyć do bardzo trudnych. Co ważniejsze porusza się wśród nich w sposób świadczący o rzetelnym przepracowaniu problematyki. Co roku w każdej szkole jest takich pewien procent. Patrzymy na nich z dumą. Jest w nich jakiś ułamek i naszej pracy.

Przyszli jako dzieci, dziś są prawie dorośli. Zmienili się. Patrząc na to zdziwiony. Czyżbym i ja zestarzał się o cztery lata?

Nie wierzę.

Szkola uczy, wychowuje i krępuje...

Każdy z uczących wie, że wyjście z grupą poza szkołę na wycieczkę, do kina, na obóz wędrowny, zwielokrotnia oddziaływanie wychowawcze. Ta młodzież staje się bardziej sobą, widzimy ją w sytuacjach naturalnych, znika dystans, który w szkole jest czasem konieczny.

Po pierwszym roku prac, odpoczywając z grupą wychowanków nad Strbskim Plesem, usłyszałem od jednego z nich: „Ależ z pana jest całkiem fajny chłop!”.

Niestety, w tym zdaniu była zbyt wielka dawka zdziwienia.

Są chwile, które się pamięta długo lub zawsze. Niekoniecznie muszą to być momenty przynoszące wielkie wartości, klęski czy zmiany w życiu. Czasem może to być płomień wieczornego ogniska, gdy 50 osób zawiniętych w koce słucha dwu kolegów śpiewających półgłosem „Tbiliso”.

Te minuty ciszy nad jeziorem Charzykowskim straconymi nie były. I dla naszych absolwentów, i dla nas dwóch siedzących razem z nimi.

Przeciętnie raz do roku każdą szkołę ogarnia Wielki Strach. Może delikatniej – wielkie podniecenie. Wizytacja. Każdy się stara, każdy chce wyjść jak najlepiej, trochę to loteria.

Ale prawdziwą wizytację mamy przez cały rok – na każdej lekcji. Nie tylko my kontrolujemy trzydziestu czy czterdziestu. Oni kontrolują nas. Umiejętnie wylapują wszystkie potknięcia, powierzchowność wiedzy czy braki w przygotowaniu. Ich opinie szczegółowe mogą być błędne, ale obraz ogólny rzadko nie jest właściwy (...).

Nasz zawód nie jest bezpieczny. Grozi zrutynizowanie, spłylenie wiedzy, apodyktyczność, nawet infantylizm. Dlatego cieszy fakt, że właśnie wśród nauczycieli jest największy procent kształcących się.

Dojeżdżający co dwa tygodnie na punkty konsultacyjne, doksztalcający się w szkołach wyższych, uzupełniający wiedzę samodzielnie – są gwarancją, że proces doskonalenia systemu oświatowego ma szansę pełnego urzeczywistnienia. („Refleksje”, „Gazeta Pomorska” 15.11.1963).

Jako historyk uważam, że uczniowie powinni poznawać przeszłość również poprzez wycieczki. Kilkakrotnie, dla różnych klas, organizowałem je do Krakowa. Potem różnego typu wycieczki, wraz z kolegami lub sam, organizowałem w Studium Nauczycielskim i Wyższej Szkole Pedagogicznej. W czasie pierwszej z tych wycieczek zorganizowanej dla klas drugich (historia średniowieczna i początki nowożytny), oprócz opisanego już wydarzenia związanego z wydostaniem się z budynku szkolnego zostało mi w pamięci jeszcze kilka obrazów.

Podróż. Odbywała się wtedy jeszcze nie przez Łódź, jak to jest w ostatnich dziesięcioleciach, lecz drogą najprostszą i najkrótszą, magistralą węglową. Niestety, trwało to długo, gdyż tempo pociągu pośpiesznego było dostosowane do dużej liczby składów towarowych jadących z węglem do trójmiejskich portów lub wracających na Śląsk. Na dodatek zaczynano wprowadzać wtedy na magistrali trakcję elektryczną, co dodatkowo utrudniało podróż. Nie przypuszczałem wtedy, że w 2012 roku zobaczę z mostku nad torami w Rynkowie, że teraz pociąg z importowanym węglem jedzie odwrotnie: z Gdańska na południe Polski...

W każdym razie podróż wtedy była dużym przeżyciem dla uczniów. Było wiele gwaru, śmiechu, wzajemnych odwiedzin w przedziałach. Nikt nie odpoczywał. Dlatego, gdy w Krakowie, po krótkim pobycie w schronisku młodzieżowym, wybraliśmy się do teatru im. J. Słowackiego, po obejrzeniu pięknego wystroju wnętrza, kurtyny Siemiradzkiego, prawie wszyscy, szczególnie w czasie trzeciego aktu jakiejś sztuki, po prostu zasnęli.

Potem przez dwa dni zwiedzaliśmy Kraków z przewodnikiem. Niestety, poziom ich w zakresie znajomości stylów architektonicznych i urbanistyki, był mierny. Co mogłem, sam objaśniałem. Pamiętam, że już pracując w SN-ie, gdy jeden z takich przewodników, mimo wcześniejszych uzgodnień ze mną ciągle opowiadał jakieś anegdotyczno-mityczne historie, po prostu go przepędziłem. Miałem już wtedy wystarczającą znajomość i wiedzę o Krakowie, by uznać się za lepszego przewodnika niż ten nam przydzielony. Dziś tego zrobić nie mógłbym, bo przewodnicy w Polsce założyli organizację, która zmusza wszystkie grupy turystyczne do korzystania z ich usług. W czasie wycieczek korzystaliśmy poważnie z posiłków w barach mlecznych, które z jednej strony były osiągnięciem, a z drugiej dowodem mizerności gastronomicznej Polski Ludowej. Zapamiętałem jedno zdarzenie. Jednej z grup wycieczkowych nie smakowało podane danie. Gdy zauważyli to siedzący w barze bezdomni, zaczęli podchodzić i nachalnie zabierać

uczennicom talerze z niedojedzonym posiłkiem, co spowodowało, że wszyscy przestali jeść. Niestety, bieda w Polsce ma wielopokoleniowe tradycje.

Ostatnią wycieczkę w uczniami LP odbyłem do Warszawy jesienią 1963 roku, gdy w Liceum były już tylko dwie ostatnie klasy V. Wyjechaliśmy wczesnym raniem. Koło dziesiątej zaczęliśmy zwiedzanie Starego Miasta, placu Zamkowego z Kolumną Zygmunta, widokiem na Trasę W-Z i przejażdżką strasznie szarpiącymi i sfatygowanymi schodami ruchomymi tamże, co było wielką ówczesną atrakcją. Zatrzymaliśmy się też na pustym, zabetonowanym miejscu po zburzonym Zamku Królewskim, z którego sterczał kikut kilkumetrowego muru jakby wołającego do nieba – świadka niemieckich zbrodni wojennych. Następnie przeszliśmy do pomnika Mickiewicza, by dojść do Uniwersytetu Warszawskiego i Grobu Nieznanego Żołnierza na ówczesnym placu Zwycięstwa (wcześniej placu Saskim, a obecnie Józefa Piłsudskiego). Stąd autobusem dojechaliśmy do budynku Komitetu Centralnego, by zwiedzić wystawę malarstwa w Muzeum Narodowym.

Po obiedzie w barze mlecznym w Alejach Jerozolimskich, uczniowie wyprosili, abym – przecież już osiemnastolatkiem – pozwolił samodzielnie zrobić małe zakupy w Centralnym Domu Towarowym i innych sklepach. Zaopatrzenie w Warszawie było jednak trochę lepsze niż w Bydgoszczy. Niechętnie, w końcu się zgodziłem. Umówiliśmy się o 18.30 w hallu Pałacu Kultury, gdzie mieliśmy zamówione bilety do Teatru Dramatycznego. Zdaje się, że grano jedną ze sztuk mojego ulubionego autora – Friedricha Durrenmatta. Okazało się jednak, że odbiór sztuki zakłóciła mi nieobecność jednej z uczennic – Janki Dagieli. Gdy nie pojawiła się też po spektaklu, mimo uspokajających zapewnień jej koleżanek, że na pewno będzie na dworcu, po prostu wpadłem w panikę. Wreszcie, gdy byliśmy na Dworcu Wschodnim, pół godziny przed odjazdem pociągu, znalazła się, przyprowadzona przez młodą mężczyznę.

Gdy ich zobaczyłem, odetchnąłem. Na pytanie: kim on jest, chłopak odpowiedział dość arogancko, że jest studentem medycyny i nic się właściwie nie stało. Wtedy wpadłem w złość. Poprosiłem przechodzącego akurat milicjanta, aby go wylegitymował, informując, że sprawę przekazę jego rektorowi. Dopiero wtedy chłopak się stropił i zaczął przeproszać.

Do płaczącej już uczennicy w ogóle się nie odezwałem ani na dworcu, ani w pociągu, choć przez całą drogę płakała, a ja po cichu zacząłem jej współczuć. Była to przecież dziewczyna, którą wychowywałem od piątej klasy podstawówki, przez wszystkie lata będąc, aż do matury, najlepszą uczennicą w klasie, nigdy niesprawiającą problemów wychowawczych. Mimo to uważałem, że przyszłej nauczycielce taka „lekcja” się należy. Oczywiście ani rektora, ani dyrektora szkoły nie informowałem.

Z tej, jak się okazało, już wcześniejszej znajomości wykluła się wielka miłość i małżeństwo. Osiedli w Łomży, ona jako nauczycielka matematyki w szkole średniej, on ceniony lekarz. Po latach, na zjeździe absolwentów, dowiedziałem się, że mają czworo dzieci. Cały incydent wspominaliśmy jako zabawny, chociaż wtedy ani mnie, ani im nie było do śmiechu. Niestety, kilka lat temu dowiedziałem się, że jej mąż doznał głębokiego wylewu, a ostatnia wiadomość dotyczyła jego śmierci. Minęło kolejne życie...

W trakcie pisania tych wspomnień, przypomniało mi się przynajmniej kilkadziesiąt uczennic i uczniów. Niekiedy tylko postacie, czasem postacie z nazwiskami, a często też i niektóre sytuacje, w jakich się znaleźliśmy.

Zostało mi w pamięci sporo bardzo dobrych uczniów. Do nich należały między innymi Stefania Krogulec (zamężna Dhingra) i Barbara Mrówczyńska (Kaja). Obydwie bardzo dobre uczennice siedzące w jednej ławce.

Stefcia pochodziła z biednej rodziny. Po ukończeniu Liceum, studiowała rusycystykę. Została jako wybitna zakwalifikowana na studia do Moskwy. Tam poznała studenta, Hindusa, i po kilku latach tamże się pobrali. Po studiach wróciła na kilka lat do Polski. Kiedyś jadąc z żoną świeżo kupioną Syreną na wycieczkę do Smukały, zobaczyłem ją przy końcu ulicy Koronowskiej, idącą z małym dzieckiem do lasu. Podwieźliśmy ją z kilometr, podziwiając jej córeczkę o pięknej śniadej cerze. Po kilku latach wyjechała do Indii do męża i po następnym dziesięcioleciu dotarła wiadomość, że tam zmarła.

Basia Mrówczyńska, później Kaja, ukończyła pedagogikę w WSP w Gdańsku, następnie napisała tam świetny doktorat z psychologii i rozpoczęła pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej i kolejno po przekształceniach w Akademii Bydgoskiej i Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego, dochodząc do stopnia/tytułu profesora.

„Nierozłączkami” w innej klasie były Bożena Domarska (zam. Krzeszewska) i Erdanowska. Obydwie zgrabne, wysokie i w zachowaniu raczej poważne.

Pani Bożena ukończyła pedagogikę, też w Gdańsku, później pracowaliśmy w Bydgoskiej WSP, gdzie była, po uzyskaniu doktoratu, adiunktem. Wspólnie z rodzinami mieszkaliśmy na osiedlu Bartodzieje. Natomiast p. Erdanowska wkrótce po maturze wyszła za mąż za dużo starszego pana, członka Stronnictwa Demokratycznego i posła w latach 70. z tego ugrupowania. Po śmierci męża wyszła za mąż za człowieka dużo młodszego od poprzednika, prowadziła odziedziczony po pierwszym mężu zakład fryzjersko-kosmetyczny.

Z uczniów, oprócz wymienionych wcześniej, chciałem wspomnieć:

- najlepszego w szkole historyka, Andrzeja Pryłowskiego. Ukończył studia historyczne, też w Gdańsku. O nim będzie jeszcze mowa w następnych rozdziałach.

- Andrzeja Majcherka. Był bardzo wesołym i sympatycznym uczniem.

Ponieważ był przy tym trochę niesforny, ojciec, wiejski nauczyciel, zaprzyjaźniony z naszym seniorem i dyrektorem Kazimierzem Wrzosiem, zlecił temu ostatniemu ojcowskie prawa nad synem. Kiedyś spotkałem Andrzeja na korytarzu, gdy szedł z bardzo nieszczęśliwą miną.

– *Co się stało, Andrzejku?* – zapytałem.

– *Pan dyrektor dał mi w gębę, to co mam się cieszyć...*

Wyrósł z niego dzielny nauczyciel i długoletni wzorowy dyrektor Liceum Ekonomicznego. Gdy się czasem spotykamy, zawsze jest o czym porozmawiać. Mógłbym tak pisać i o wielu innych: Kazimierzu Banachu, Jerzym Dworskim, Urszuli Klunder, Aleksandrze Kaniewskiej, Helenie Kościelniak-Skibińskiej (też pracującej w WSP), Renacie Owczarskiej, Krystynie Astapko i wielu, wielu innych. Wybaczcie, że was tu nie wspomniałem.

O dwu jednak uczennicach i sprawach chcę powiedzieć trochę szerzej.

Do mojej klasy pierwszej trafiła dziewczyna o nazwisku Jankowska. Bardzo grzeczna i inteligentna, chociaż trochę infantylna. Mieszkała ze swą babcią. Wkrótce jednak zaczęły się z nią problemy formalne. W sekretariacie zauważono jakieś niejasności w dokumentach. Nawet o tym nie wiedziałem. Zaczęto wzywać dla wyjaśnienia dokumentów jej babcię. Wtedy okazało się, że jest to babcia przybrana. W 1945 roku, gdy Bydgoszcz wyzwalała armia radziecka, podobnie jak na całym froncie wschodnim dochodziło do gwałtów, grabieży i podpaleń. Ofiarą gwałtu krasnoarmiejca padła też pewna bydgoska Niemka. Gdy w rok później wyjeżdżała, zostawiła kilkumiesięczne dziecko starszej Polce. Na jakich to się odbyło zasadach, nie wiem. Dziecko posługiwało się nazwiskiem przybranej babci. Ponieważ wszystko to odbywało się poza mną, na dobre dowiedziałem się o tej sprawie dopiero w klasie drugiej, gdy dziewczyna miała już niemieckie nazwisko. Gdy ją zobaczyłem po wakacjach, dziwnie wydorosła, urósł jej nos, na twarzy kiedyś uśmiechniętej dominowały smutne oczy. W nauce kompletnie się załamała. Trudno było z nią rozmawiać. W klasie trzeciej już się nie pojawiła. Przeniosła się do I LO, ale go nie ukończyła.

Po prawie 10 latach – nie wiem, jak zdobyła numer telefonu – zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że jest w RFN i źle się tam czuje. W tym momencie połączenie zostało przerwane. Nie wiem, czy zawiodła ówczesna technika, czy wyłączyła się sama, czy zadziały „czynniki zewnętrzne”, bo wtedy rozmowy z zachodnimi Niemcami były rzadkością techniczną i polityczną. Tak to „prawdziwy koniec II wojny” nastąpił (a może i nie nastąpił) dopiero po kilkunastu latach. A w wielu przypadkach, np. Katynia, i po ponad 70 latach końca nie widać...

W innej z klas bardzo dobrą uczennicą, mieszkającą w internacie, była – nazwijmy ją Beata. Miała tylko daleką rodzinę, z którą kontakty były chyba dość

luźne. W owych czasach zjawiskiem naturalnym była drugoroczność, a w przypadkach skrajnych przewinień wychowawczych – przenoszenie uczniów do innych szkół o tym samym profilu kształcenia. W ten sposób trafił do nas „spad” z innego liceum pedagogicznego – nazwijmy go Zdzisław. Chłopak, o ile leniwy czy mało zdolny, o tyle mający powodzenie u dziewcząt. Też zamieszkał w internacie.

Na radzie pedagogicznej w połowie roku wychowawca klasy maturalnej zgłosił nagle, że ma nietypowy problem, bo Beata zaszła ze Zdzisławem w ciążę. Nastąpiła konsternacja. W owym czasie istniała praktyka, a może i przepisy, że w takiej sytuacji naukę należy kontynuować w szkole wieczorowej. Ale przecież wieczorowych liceów pedagogicznych nie było!

Zaczęliśmy się zastanawiać, co robić, i wtedy zarówno nasz psycholog Henryk Kaja, jak i przedwojennie uformowana w katolickim liceum pedagog, pani Budzianka, oświadczyli, że trzeba do tego podejść z pełnym zrozumieniem, otoczyć dziewczynę dodatkową opieką i umożliwić jej zdawanie matury. Wszyscy zebrani to poparli, łącznie z J. Szallą. Trzeba też podkreślić, że Beata miała też pełne zrozumienie u swoich koleżanek. Maturę zdała na „ostatnich nogach” z ocenami bardzo dobrymi. Wyjechała na studia, tam po ich ukończeniu wyszła za mąż za jednego z pracowników uniwersytetu. Co działo się z nią później – nie wiem.

Podobna historia, ale z inną puentą dotarła do mnie post factum kilka lat później, gdy pracowałem w Studium Nauczycielskim. Na kierunku filologia polska studiowała dziewczyna z kilkumiesięcznym dzieckiem. Mieszkała w internackim pokoju. Ojciec dziecka nie chciał się z nią ożenić, a rodzina wyrzekła się córki (tak!). Dziewczyna żyła dzięki stypendium i pomocy przy dziecku ze strony współmieszkanek internatu. Po kilku miesiącach dostała rozległego zawału, który zakończył się śmiercią. Można staroświecko powiedzieć: *pękło jej serce...*

W czasie wakacji, pracując w LP, dwukrotnie zorganizowałem wczasy wędrówne. Było to po drugim i trzecim roku pracy.

Pierwszy raz wybraliśmy się nad morze. Wiosną dokonałem trzydniowego kolejowego rekonesansu przez Łebę, Władysławowo, Jastarnię i Sopot. Były to ciepłe, ciche dni, a nad Bałtykiem ani jednego turysty. Tak pięknego pobytu nad polskim morzem nie miałem już nigdy. Okazało się, że w spokojnej wtedy rybackiej wsi – Łebie – był jedyny dom wypoczynkowy w ponurym pałaco-zamczysku z wieżą, znajdującym się nad samym klifowym brzegiem. Kierownik domu, gdy przedstawiłem mu prośbę, natychmiast się zgodził, byśmy swe namioty mogli ustawić na terenie ośrodka przy boisku do gry w siatkówkę. Podobnie przychylnie zareagował kierownik świeżo otwartego ośrodka przygotowań sportów olimpijskich w Cetniewie-Władysławowie. Sam zaproponował, abyśmy przez kilka dni pobytu tamże jedli tanie obiady w stolówce tego ośrodka.

Nocleg w czasie tego rekonesansu miałem w pięknym, świeżo wybudowanym Domu Rybaka, którego wysoka wieża zaznaczała się jak latarnia morska w pustym wtedy dookoła krajobrazie. Dziś cała okolica jest zabudowana domami o różnej, przeważnie małej wartości architektonicznej i pełnym bałaganie urbanistycznym. Sam Dom Rybaka też mocno podupadł.

Duże wrażenie zrobił na mnie wtedy nowy, niewielki kościół na pograniczu Władysławowa i Cetniewa, wybudowany w formie rybackiego szalasu, z pięknymi witrażami. Nowy kościół to była wtedy rzadkość, na dodatek tak oryginalny w formie.

Pod koniec czerwca z dwudziestoosobową grupą wyjechaliśmy pociągiem do Łeby. Drugą opiekunką grupy była mgr Barbara Wójcik, która zabrała ze sobą siedmioletniego syna. Jechaliśmy z ciężkimi wojskowymi namiotami. Całe szczęście, że w grupie było kilku chłopców, bo przeniesienie namiotów w Łebie ze stacji kolejowej do „zameczku” wycisnęło z nas dużo potu. Całe dwa tygodnie mieliśmy słońce. Otwarte morze było dość ciepłe, a czysta jeszcze wtedy zatoka, gdy kąpaliśmy się koło domu wypoczynkowego Pierwszego LO Bydgoszcz (na skraju Jastarni, w kierunku na Juratę) po prostu gorąca! Pewnie dlatego, że wszyscy byliśmy wtedy młodzi.

Tamże dowcipna p. Wójcik zaproponowała nagle:

– A może spróbujecie utopić teraz pana wychowawcę?

I nagle rzuciło się na mnie z 15 dziewcząt. Całe szczęście, że woda w zatoce była dość płytka, ale w pewnym momencie poczułem strach. Trochę w tym ataku było, obok żartu, odwetu niektórych uczennic za ostre ocenianie i dyscyplinę harcerską, która chyba w nadmiarze, tak to dziś oceniam, wtedy stosowałem. To ostatnie wynikało z mojego zapatrzenia się na metody stosowane przez p. Szallę.

Z Helu popłynęliśmy statkiem do Sopotu i na ostatnie dwa dni rozbiliśmy namioty na dużym dziedzińcu ówczesnej Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Zwiedziliśmy też między innymi Operę Leśną, w której wkrótce miały się zacząć festiwale piosenki. Zdaje się, że w czasie ostatniego spaceru po molo zaczął padać pierwszy w ciągu dwu tygodni deszcz.

Drugi obóz, za rok, odbył się na terenie Kotliny Kłodzkiej. Tym razem ze względu na trudną, górską trasę pojechaliśmy bez namiotów. Załatwiłem w czasie wiosennego przygotowania noclegi w schroniskach szkolnych i młodzieżowych. Pociągiem dojechaliśmy do Łądka-Zdroju. Po dwu dniach pobytu i kąpieli w radoszycznym basenie, użytkowanym wtedy na zmianę przez kuracjuszy polskich i żołnierzy radzieckich, którzy przez wiele lat mieli tam własne sanatorium, dojechaliśmy do Stronia Śląskiego. Jego mieszkańcy pracowali wtedy przeważnie w hucie szkła, których dziesiątki były w Sudetach. Dziś zostało najwyżej kilka.

Stamtąd w ciągu jednego dnia przeszliśmy przez pasmo Śnieżnika do Międzygórza. To był ciężki wysilek. W tym „alpejskim” kurorcie wypoczęliśmy dwa dni, by następnie przedostać się pociągiem, z przesiadką w Kłodzku, do Polanicy. Pamiętam, że w Polanicy poprosiłem uczestniczki, aby nie oddalały się ze schroniska PTTK i zezwoliły nam – personelowi (drugą wychowawczynią była p. Zenobia Szamotulska) – na pójście na dancing do zdrojowej kawiarni. Wyraziły zgodę.

Z Polanicy pieszo przeszliśmy do Dusznik, nocując w pięknym schronisku pod Muflonem. Kolejny przemarsz nastąpił do Kudowy. Stamtąd pieszo poszliśmy na Szczeliniec, co było dużym wysiłkiem marszowym. Wynagrodził to widok wszystkich utworów skalnych, których tak wiele natura przygotowała zwiedzającym w Górach Stołowych.

Można więc powiedzieć, że wszystko było pięknie. Niestety, tak tego dziś nie widzę. Dziewczyny chciały mieć na obozach trochę luzu, a ja stosowałem tradycyjny „dryl” harcerski, co im wyraźnie nie odpowiadało. Chciałem w tym miejscu powiedzieć, że dużą pomoc mieliśmy w wybranej przez ogół szefowej grupy, uczennicy – Danusi Kantor.

Obozy te można ogólnie uznać za udane również dlatego, że na początku lat 60. nie było specjalnych problemów żywnościowych. Jak ktoś miał pieniądze, to w sklepach można było kupić dość zgrzeźbne, ale pożywne produkty. Jako kierownik obozu dostałem książeczkę czekową z określeniem, ile możemy dziennie wydać na jedzenie i zakwaterowanie. Obiady jedliśmy w restauracjach lub barach mlecznych, zamawiając wyżywienie w przeddzień, śniadania i kolacje przyrządzaliśmy sami, bazując na chlebie, serze, maśle i konserwach.

Wszystkie wydatki trzeba było mieć udokumentowane rachunkami wpisanymi do odpowiedniego, drukowanego zeszytu. Rozliczenie pierwszego obozu odbyło się bezproblemowo. Natomiast z drugim wynikły poważne kłopoty. Po kilku tygodniach zwróciła się do mnie księgowa Liceum, mówiąc, że dzwoniłi z Wydziału Oświaty, bym rozliczył się z obozu.

– Przecież już w połowie września przekazałem pani dokumenty.

– Ja nic nie mam i nie pamiętam, aby pan mi coś dawał.

W dalszej dyskusji sam zwątpiłem i zacząłem szukać w swoim pokoju tych materiałów. Niestety, bez skutku. Po kilku dniach zostałem wezwany do księgowości Wydziału Oświaty i starsza pani zaczęła mi tłumaczyć, że to poważna sprawa i za kilka dni będzie musiała zgłosić sprawę na milicję.

Znów odbyłem rozmowę z naszą księgową, panią B., niestety, równie nieskuteczną, jak i dalsze przeszukania moich szpargałów. Po kilku dniach przyszedł milicjant i spisał protokół. Koszt takiego obozu to była poważna kwota, około 10 tysięcy złotych.

Ponieważ większość tych rozmów toczyła się w naszym sekretariacie, sytuację poznała też p. sekretarka – kobieta około czterdziestki, bardzo z nami zżyta (niestety, zapomniałem jej nazwisko).

Całą sobotę i niedzielę chodziłem jak struty. W poniedziałek rano zajrzałem przed lekcjami do sekretariatu. Przywitała mnie uśmiechnięta Pani i powiedziała:

– *Panie Januszu, proszę się nie martwić, mam dla pana niespodziankę* – i wyciągnęła skoroszyt z obozowymi dokumentami.

– *Jak to Pani znalazła?*

– *Żal było na pana patrzeć, a nasza księgowa to flettuch i nie wiem, jak ona to wszystko prowadzi. W niedzielę przez pół dnia przepokopałam się przez jej papierzy-ska, no i na dnie biurka to znalazłam!*

Zalala mnie autentyczna radość i poczucie wdzięczności. Chyba tę panią wtedy serdecznie ucałowałem. W tym dniu miałem godzinną przerwę w zajęciach, więc szybko pojechałem na świeżo zakupionym motocyklu do miasta, przywożąc włoskie Martini, wówczas chętnie pite, czekoladki i bukiet dyżurnych „socjalistycznych” goździków. Nie wiem, czy warto o tym pisać, ale księgowa, pani B., nie powiedziała nawet słowa „przepraszam”.

Ponieważ wspomniałem o motocyklu, to kilka słów na ten temat. W zakresie komunikacji po 1956 roku postanowiono rozwijać ją w następujących zakresach:

Rowery. Jedyne wtedy państwowe zakłady rowerowe w Polsce, powstałe z połączenia istniejących przed wojną kilku małych bydgoskich zakładów, otrzymały zadanie dojścia do rocznej produkcji jednego miliona sztuk. Udało się to osiągnąć stopniowo, przez rozbudowę starych oddziałów i zbudowanie w latach 70. nowej, wielkiej fabryki na ulicy Fordońskiej. Niestety, ponieważ wszystkie fazy produkcji, łącznie z odlewnią, robiono na miejscu, rowery były zbyt drogie i na początku lat 90. po otwarciu granic celnych Romet nie wytrzymał konkurencji. Dziś nowoczesne jak na owe czasy hale są zrównane z ziemią, a ocalał jedynie kilkunastokondygnacyjny budynek administracji.

Motocykle. Miało być ich rocznie do 200 tysięcy, a produkowały je ubocznie zakłady zbrojeniowe SHL i WSK (Wytwórnice Sprzętu Komunikacyjnego). WSK produkowało motocykl o pojemności 125 cm³, a SHL także oraz o pojemności 175 cm³. W Szczecinie zaczęto produkować ciężki motocykl „Junak” o pojemności 350 cm³, którego użytkownicy powodowali bardzo dużo wypadków drogowych.

Samochody. Na początku lat 60. inżynierowie, zapaleńcy motoryzacji, stworzyli oryginalną konstrukcję o nazwie „Syrena”. Karoseria tego samochodu była początkowo ręcznie klepana, a jednostką napędową był dwucylindrowy silnik od pompy strażackiej. Ten prymitywny pojazd był przedmiotem pożądania tysięcy

Polaków. Dostawało się go na specjalne talony. Jednym ze szczęśliwców był mój szwagier – inżynier budujący zaporę wodną we Włocławku. Innym – inżynier z Zakładów Chemicznych w Bydgoszczy, p. Wójcik, mąż nauczycielki biologii z naszego Liceum. Kiedyś opowiadała nam z humorem, że niezbyt dokładnie zamknęła drzwi Syreny, które otwierały się od przodu – „pod wiatr”. Gdy ruszyli i drzwi się otworzyły, mąż zaczął na nią pokrzykiwać.

– *Przecież nic mi się nie stało* – odpowiedziała żona.

– *Nie chodzi o ciebie, mogły się urwać drzwi!*

Oto była siła ówczesnej motoryzacji. Na marginesie dodam, że polscy konstruktorzy pracowali solidnie nad udoskonaleniem kolejnych wersji tego samochodu. Ja miałem po kilku latach wersję 104, dużo lepszą, a następne, niestety, mimo ich przygotowania nie weszły do produkcji.

Wróćmy jednak do roku 1962. Aby kupić motocykl, nie szło się do sklepu. O „salonach samochodowych” nikt nawet nie słyszał. Najpierw trzeba było napisać podanie do wydziału handlu z uzasadnieniem potrzeby zakupu i poparciem dyrekcji zakładu czy instytucji, w której się pracowało. Moje podanie zostało rozpatrzone pozytywnie i za 7 tys. złotych w połowie 1962 roku stałem się właścicielem WSK 125. Zaczęło się wtedy mówić „dostałem” motocykl, pralkę lub telefon, mimo że trzeba było za nie ciężko zapłacić.

Zapisałem się też na motocyklowy kurs prawa jazdy, który Polski Związek Motorowy organizował na zaniedbanych Polach Ułańskich, czyli nieistniejącym jeszcze wtedy osiedlu Błonie. Były tam jakieś wąskie betonowe dróżki, pagórki ziemi i betonowe fundamenty z nieistniejących już wojennych baraków dla jeńców i pracowników przymusowych. Staliśmy w grupie, a instruktor wskazywał palcem, kto ma kolejno jechać. Niektórym udzielał kilku zdań instrukcji. W pewnym momencie wskazał na mnie. Wsiadłem na uruchomiony przez poprzednika motor, a instruktor powiedział:

– *Jedź pan.*

No to puściłem sprzęgło, wiedząc, że tak robili poprzednicy. Motocykl szybko ruszył i po kilku metrach uszkodziłem dźwignię zmiany biegów o występ betonu i motocykl stanął.

– *Panie, przecież pan nie umiesz jeździć!!*

– *No właśnie, zapisałem się na kurs, żeby się nauczyć!*

Dopiero wtedy zajął się mną i udzielił kilku wskazówek, a resztę dopełnili inni „studenci”, którzy przyszli tylko po papierek, bo już wcześniej umieli jeździć.

Moim motocyklem odbyłem w ciągu dwu lat tylko kilka dłuższych podróży: przeważnie nad jezioro Charzykowskie, do obozu harcerskiego w Funce i sporo krótszych wypadów do Chmielnik i Borówna. Gdy zacząłem poważnie myśleć

o małżeństwie, stwierdziłem, że podróże motocyklowe czasem kończą się fatalnie, a nawet tragicznie. Jako ostrzeżenie potraktowałem pęknięcie ramy, które zdarzyło się podczas jazdy. Kupiony za 7 tys. złotych (wartość moich 4 ówczesnych pensji), sprzedałem za 2 tys. i tej mizernej transakcji nie żałuję.

Do tej pory nie pisałem, jak w trakcie pracy w Liceum rozwijała się sprawa mojego doktoratu. Zacznę od ilości zajęć. W liceach pedagogicznych nauczyciele mieli niższy wymiar godzin niż w pozostałych szkołach. Gdy w szkołach podstawowych obowiązywał wymiar 26 godzin pracy, a w średniej 24, to w pedagogu jedynie osiemnaście! Po nawale pracy, który miałem w dwu poprzednich latach, to był naprawdę luksus. Spożytkowałem go głównie na samokształcenie dydaktyczne, pracę naukową i uczestnictwo w kulturze (modne wtedy określenie Suchodolskiego), które poprzednio zaniedbałem. O tym ostatnim piszę w następnym rozdziale. Raz w tygodniu chodziłem do pracowni Archiwum Państwowego na ulicę Dworcową i starałem się zbierać materiały do narzuconego mi przez prof. Łukaszewicza tematu o ruchu robotniczym w okresie międzywojennym w Bydgoszczy i Grudziądzu. Niestety, tych materiałów było mało i były strasznie nudne, podczas gdy z prasy i innych źródeł wylewało się bogate życie gospodarcze i społeczne Bydgoszczy w dwudziestolecie międzywojennym. Propozycji zmiany tematu prof. Łukaszewicz nie przyjął. Ostatecznie straciłem chęć do zajmowania się tymi sprawami, gdy na jednym z zebrań w Wojewódzkim Ośrodku Propagandy Partyjnej, działającym w nieistniejącym już gmachu byłej Resursy Kupieckiej na ulicy Jagiellońskiej, od przybyłych z Warszawy pracowników Zakładu (później Wydziału) Historii Partii dowiedziałem się, że na Pomorzu Komunistyczna Partia Polski działała słabo, z wyjątkiem Wydziału Wojskowego. Wydział ten prowadził wywiad w Toruńskim Okręgu Korpusu, czyli pracował na rzecz wywiadu sowieckiego, zdradzając Ojczyznę.

Oczywiście mogłem związać się z historycznym ośrodkiem poznańskim i zostać historykiem-regionalistą, ale nie przyszło mi to do głowy. W tym czasie w Warszawie, przy okazji wręczenia nagród w konkursie odczytów pedagogicznych, spotkałem dra Edwarda Fleminga, który sporo publikował w latach 60. z zakresu zastosowania, jak wtedy mówiono, „środków audiowizualnych w pedagogice”. Zaprosił mnie on na jedną z konferencji na ten temat do Łodzi, gdzie był najbardziej prężny ośrodek filmu fabularnego (Wyższa Szkoła Filmowa i Wytwórnia Filmów Fabularnych), a także na Uniwersytecie Łódzkim Katedra Filmoznawstwa z prof. Bolesławem W. Lewickim i prof. Jacobym.

Dr Fleming zaproponował, abym zgłosił się na seminarium doktorskie do jego szefa, prof. Wincentego Okonia, najwybitniejszego powojennego pedagoga-dydaktyka. Niestety, prof. Okoń w czasie krótkiej rozmowy oświadczył mi grzecznie, że ma ponad 40 doktorantów i po prostu następnych nie przyjmuje.

W tym też czasie miało miejsce spotkanie historyków z liceów pedagogicznych i SN-ów w Raciborzu. Główny referat wygłosił tam docent Tadeusz Słowikowski z WSP w Krakowie, autor świeżo wydanej „Metodyki nauczania historii”. Ten starszy, elegancki, w przedwojennym stylu, pan zrobił na mnie swym wykładem duże wrażenie. W czasie przerwy zacząłem z nim rozmawiać. Ku mojemu zdziwieniu, nagle powiedział:

– *Ach, to przecież pan napisał do mnie ostry list, że w „Wiadomościach Historycznych” (był ich redaktorem) nie opublikowałem pańskiej recenzji dotyczącej wydanej niedawno mapy ściennej. Otóż, kolego, proces wydawniczy naszego miesięcznika trwa ponad pół roku (wtedy to była norma) i pański tekst jest właśnie w druku.* – Mówił to z uśmiechem, a po chwili dodał – *może chciałby pan u mnie pisać doktorat z dydaktyki historii?*

Propozycja ta mnie zaskoczyła. Powiedziałem, że odpowiem na nią po kilkogodzinnym zastanowieniu. Po obiedzie odbyliśmy drugą rozmowę. Ustaliliśmy, że temat będzie dotyczył wpływu filmu na efektywność nauczania historii. Ostatecznie po roku Promotor sformułował go następująco: „Wpływ filmu na rozwój myślenia historycznego uczniów”. Praca miała mieć charakter teoretyczny i eksperymentalny (empiryczny).

Zaraz po zawarciu porozumienia z doc. Słowikowskim pojechałem do Torunia, by podziękować za możliwość uczestnictwa w seminarium prof. Łukaszewicza i oznajmić o zmianie zainteresowań.

– *Robi pan wielkie głupstwo* – oświadczył Profesor.

Do dziś nie wiem, czy lepiej było pozostać przy „czystej historii”, czy zajmować się naukowymi pograniczami historii, pedagogiki i socjologii. W każdym razie źle się nie czułem, a miałem dzięki swym pracom badawczym możliwość kontaktów z wieloma naukowcami z większości krajów Europy, a nawet USA.

Przez ostatnie dwa lata (1962-64) kończące się Liceum Pedagogiczne miało siedzibę w szkole przy ulicy Chorwackiej, wspólnie ze szkołą ćwiczeń, którą kierował, robiący doktorat u prof. Bandury, Jan Jakóbowski. Gmach na Seminaryjnej przejęło w całości Studium Nauczycielskie, którego dyrektorem był nasz były szef – Wawrzyniec Kolibabka.

Na zakończenie tego rozdziału chciałem powiedzieć jeszcze o dwu sprawach.

Pierwsza. W owych latach istniała praktyka tzw. prac społecznych. Szkoły uczestniczyły przeważnie w jednodniowych wyjazdach do Państwowych Gospodarstw Rolnych (PGR). Ponieważ byłem najmłodszym nauczycielem, przeważnie wyjeżdżałem jako opiekun tych grup. Co roku, we wrześniu, jechałem z dwiema klasami zbierać, za konnymi lub traktorowymi kopaczkami, ziemniaki. Była to praca dość ciężka. Ponieważ nie wszystkie dziewczyny nadążały, pomagałem najslabszym, by „front robót” był wyrównany. Niestety, zauważyłem, że niektóre

pary zbieraczek (do przesuwania kosza trzeba było dwójki) specjalnie się opóźniały, bym im pomagał. W efekcie po całym dniu, gdy wracaliśmy, byłem kompletnie skonany. Nie umiałem się jednak wczuć w rolę jedynie obserwatora i „naganiacza”. Już w drugim roku stwierdziłem, że o wiele przyjemniejsza jest praca w gospodarstwach sadowniczych, których było kilka w okolicach Białośliwia i Potulic, rozrzuconych na nasłonecznionych wzgórzach, opadających z północy w kierunku doliny Noteci. Zbieraliśmy śliwki lub jabłka. Zwyczajowo oprócz niewielkiej zapłaty, którą poszczególne klasy przeznaczały na fundusz wycieczkowy, kierownicy PGR-ów dawali nam po skrzynce lub dwu śliwek, ewentualnie jabłek. Czasami wiosną byliśmy proszeni o pomoc w sadzeniu lasów.

Do dziś uważam, że tego typu prace są szkołą wychowania obywatelskiego i powinny być kontynuowane.

Zdarzenie drugie. Jesienią 1963 r. kuratoryjny oddział kształcenia nauczycieli zwrócił się do mnie z propozycją przeprowadzenia pokazowej lekcji powtórzeniowej dla historyków ze wszystkich – czyli 10 – liceów pedagogicznych województwa bydgoskiego. Zgodziłem się, a ponieważ w pomieszczeniach przy ul. Chorwackiej nie było odpowiednio dużej sali, postanowiono, że lekcja odbędzie się w auli I LO na placu Wolności. Przygotowując się do lekcji, przyszedł mi do głowy głupawy pomysł. Przypomniałem sobie, że gdy we Wrocławiu uczyła mnie wybitna polonistka (przed wojną uczyła m.in. Czesława Miłosza w Wilnie), p. Maria Przybytkowa, urządziła nam kiedyś lekcję powtórzeniową, z której wiadomości dwa dni później przydały się świetnie na lekcji z udziałem wizytatora. Powtórzyłem ten niezbyt etyczny zabieg, niestety, w moim przypadku dał on oplakane skutki. Dziewczyny niby sobie coś przypominały, ale odpowiadały w sposób chaotyczny, często bez sensu, całość lekcji, już nie pamiętam, na jaki temat, okazała się kompletną klęską. Gdy dziś przypominam sobie to zdarzenie, myślę, że wpływ na zagubienie uczennic i moje wywarła też wielka, nieznaną nam wcześniej sala, w której ginął



nasz głos, a grupka uczniów i słuchaczy – nauczycieli, gubiła się w przestrzeni obliczonej na kilkaset osób.

Koledzy byli na tyle kulturalni, że w dyskusji mówili o problemach przeprowadzania lekcji powtórzeniowych w sposób teoretyczny. Jeden tylko nie wytrzymał i w zakończeniu swej wypowiedzi stwierdził:

– *A jaka była lekcja, no to każdy z nas widział.*

W przerwie obrad, zmartwiony, postanowiłem odwiedzić poznaną nieco wcześniej koleżankę – chemiczkę, nauczycielkę w I LO. Krótka wizyta u sympatycznej i ładnej blondynki, mgr Małgorzaty Dudzik, oraz jej współpracownicy, mgr Zdzisławy Pankowskiej, częściowo rozładowała moje przygnębienie z powodu porażki pedagogicznej. Umówiłem się nawet z p. Małgorzatą na kawę, nie przewidując jeszcze wtedy dalszych tego konsekwencji.

Zbliżała się ostatnia matura rocznika 1964 w wygasającym Liceum Pedagogicznym. Zostały już tylko dwie maturalne klasy, w sumie około 60 uczniów. Część z nich wybierała się na studia nauczycielskie, do wyższych szkół pedagogicznych lub uniwersytetów, część szła bezpośrednio do pracy w szkołach. My, nieliczni już nauczyciele, wybieraliśmy się albo do dalszej pracy, głównie w bydgoskim Studium Nauczycielskim, albo w liceach ogólnokształcących, albo przechodziliśmy na emeryturę. Jeszcze tylko pomaturalne zdjęcie przed gmachem szkoły przy ul. Chorwackiej i Liceum Pedagogiczne w Bydgoszczy przestało istnieć. W następnych latach zlikwidowano w województwie wszystkie 10 szkół tego typu, koncentrując kształcenie nauczycieli w dwu studiach nauczycielskich – w Bydgoszczy i Toruniu.

Ponieważ uczyłem kolejno we wszystkich typach kształcenia nauczycieli: od liceum po wyższe szkoły pedagogiczne i uniwersytety, mam możliwość oceny ich skuteczności.

Oczywiście zakres wiedzy kierunkowej we wszystkich tych szkołach półwyższych i wyższych był większy. Licea pedagogiczne były jednak zakładami, które zdecydowanie lepiej przygotowywały absolwentów do pracy wychowawczej, do wypełniania funkcji opiekuńczej i kształtowania postaw uczniów. Pokolenia absolwentów seminariów i liceów pedagogicznych, dziś już emerytów lub zmarłych, wypełniły „cum laude” zadania kształtowania młodych pokoleń Polaków w XX wieku.

Miałem też szczęście spotkania wtedy ostatniego pokolenia kolegów – na-



uczycieli, dla których naturalnym zjawiskiem była nie praca, lecz służba. Ich życie było naturalnie traktowaną służbą: wobec młodzieży, idei powszechnej edukacji, społeczeństwa i Polski.